Opłatę pocztową uiszczono gotówką.

Kolekcja
Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
CZYTELNIA
w Opolu

PANTEON POLSKI

ILUSTROWANY DWUTYGODNIK
POŚWIĘCONY PAMIĘCI i CZCI POLEGŁYCH
O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI WRAZ Z KRONIKĄ
CZYNÓW ŻOŁNIERZA POLSKIEGO w LATACH 1914-21.

Rok II. Lwów 1925 Zeszyt 14. (18)

S. TENEROWICZ.

Nr. 14. (18) Lwów, dnia 1. września 1925. Rok II.

PANTEON POLSKI

ILUSTROWANY DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY PAMIĘCI I CZCI POLEGŁYCH O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI WRAZ Z KRONIKĄ CZYNÓW ŻOŁNIERZA POLSKIEGO W LATACH 1914—1921.

Wychodzi każdego 1-go i 15-go.

WYDAJE I REDAGUJE KOMITET WYDAWNICZY: Dr. F. Konieczny, Dyr. J. Niemiec, Dr. J. Rogowski, Prof. M. Strońska, Z. Zygmuntowicz.

Cena egzempl. 80 gr. Przedpłata kwartalna 4 zł.

Z. ZAWISZANKA.

WALKI O KIELCE

w sierpniu 1914 r.

(Dokończenie).

W czasie, gdyśmy jedli obiad, wcale dobrze udając spokój jedno przed drugiem — w progu ukazało się nagle dwóch żandarmów. Byłam pewna, że zagarną nas wszystkich, jak myśliwi znalezione w polu gniazdo upragnionej zwierzyny — mimo to jednak najspokojniej jadłam dalej. Ktoś zbladł śmiertelnie, ktoś zerwał się od stołu w pierwszej chwili — ostatecznie jednak zachowaliśmy się, jak towarzystwo, które nic tak dalece nie ma na sumieniu.

Okazało się, że żandarmi przyszli tylko po pana F. i zabrali go też natychmiast — gdzie i na jak długo, nikt nie wiedział. Istny szał radości ogarnął rodzinę, gdy tragicznie pożegnany więzień zjawił się w kilka godzin z powrotem, zupełnie uwolniony od winy i kary. Szpieg, który go widział, idącego z bronią na pomoc strzelcom, ostatecznie postawiony mu do oczu, zmieszał się i plątał w zeznaniach. Wszystko więc byłoby dobrze, gdyby nie wieści, jak to oficer rosyjski przechwalał się łupem, w postaci plecaków, broni i czapek strzeleckich, które panu F. pokazywał — twierdząc przytem, że oddział nasz rozbity, wcale już nie istnieje.

Ogromne przygnębienie zapanowało w domu. Ja nie wierzyłam jeszcze w zupełne rozproszenie, lecz klęska nie była wykluczona. Straciłam wiarę, by nasi mogli prędko powrócić — a nie wyobrażałam sobie, jak potrafię przetrzymać dalsze wygnanie. Układałam już na serjo, by w chłopskiem przebraniu przedrzeć się na południe, lecz powstrzymali mnie towarzysze niedoli, perswazjami, aż nadto rozsądnemi.

Ranek 15. VIII. był punktem kulminacyjnym naszych męczarni. Raniutko przyszła do kuchni z mlekiem, czy masłem jakaś kobieta, która rzekomo widziała na własne oczy śmierć jakiegoś młodziutkiego strzelca, przygwożdżonego do ziemi spisą kozacką — i opowiadała to z płaczem. Pani F. powtarzając nam to, trzęsła się cała. Wmawiałam jej, że to nieprawda, lecz okropność wieści podziałała jednak na wszystkich i na mnie również.

Ostatnie iskry animuszu i resztki odporności mojej dobiła, kursująca powszechnie w mieście pogłoska, że dziś, czy jutro w południe, mają wieszać na rynku 17-tu pojmanych Strzelców, ogłaszając zawczasu surowy zakaz pogrzebania ich ciał. To już było coś ponad moje siły. Miałam silne poczucie, że jeśli to prawda to tego już nie przeżyję. W rozgorączkowanym mózgu snuły się jakieś strzępy tragicznej historji Antygony... A gdyby tak — nie czekając na dalszy ciąg okropności — rzucić się na pikę pierwszego przejeżdżającego kozaka?...

Gdy stałam przy furtce ogrodu, zwalczając w sobie tę pokusę, zauważyłam nagle jakiś prąd przeciwny w dotychczasowym ruchu konnych oddziałów. Całe sotnie kozackie poczęły płynąć od strony Białogona ku Kielcom. W chwilę potem najniespodzianiej ryknęły armaty, głosem znanym już, witanym teraz jak zwiastun oswobodzenia!

Ogarnęła nas szalona radość, ulga, powrót do życia — jakby się nagle usunęła żelazna ręka, co nas dławiła. Sam fakt bliskiej znowu walki wskazywał na powtórne cofnięcie się moskiewskiego zalewu — zapowiadał może kto wie? — rychły powrót naszych.

Na razie grzmiały tylko rosyjskie działa z Szydłówka; po pewnym czasie odpowiedziały im austrjackie od strony Morawicy. W tym cudnodźwięcznym duecie

nauczyliśmy się szybko wyróżniać głosy obu rodzai pocisków. Z wielką radością zauważyliśmy, że rosyjskie pociski bardzo często wcale nie pękają. Po jakiejś godzinie zamilkło jedno działo z Szydłówka, później drugie...

Nasz ogród znajdował się prawie w sferze ognia, mimo to jednak nikt z obecnych nie mógł się zdecydować na opuszczenie go. Obecne widowisko było czemś zbyt pięknem, w porównaniu do straszliwych 2 dni, dopiero co przeżytych.

Największą rozkosz sprawił nam widok kozackich oddziałów, uciekających w szybkiem tempie od strony Chęcin i Morawicy. Jeden z nich pędził galopem, gubiąc po drodze czapki i spisy!

Wdrapałam się, wraz z chłopcami, na mały balkonik, skąd widziało się większy szmat okolicy. Gwizd szrapneli zdawał się tu lecieć bezpośrednio nad głową, jak świergot jaskółek przed deszczem. Dręczyła mnie głupia myśl, że możnaby schwytać który, gdyby rękę wyciągnąć...

Jeden wybuchł o jakieś 200 x od domu, wzbijając ogromny słup żółtej gliny. Radowaliśmy się, że Moskale tak kiepsko strzelają, choć jeszcze gorzej wycelowany pocisk mógł nas, wraz z domem, pogrzebać.

Ściągnęły nas na dół z naszego obserwatorjum dopiero płaczliwe lamenty bab wiejskich, które, wracając z kościoła z pękami poświęconego ziela, schroniły się w ogrodzie i prosiły o radę, co teraz robić — dzieci tam w domu głodne czekają, a tu armaty na dzodze... Niektóre chciały biec wprost na strzały — trzeba je było wstrzymywać perswazjami, że może za godzinę, dwie, bitwa się uspokoi.

Jakoż i tak się stało. Przez pewien czas grały znów same austrjackie działa, na znak wyraźny, kto odzierżył pole. Jeszcze nie zmilkły ostatnie strzały, gdy na szosie od Morawicy ukazały się pierwsze niebieskie mundury. Była to straż przednia kompanji cyklistów austrjackich.

Dojrzałam ich pierwsza i wypadłam nieprzytomnie na szosę, niebaczna już na żadne nakazy konspiracji i przezorności. Cykliści, prowadzący ostrożnie swe rowery i oglądający się nieufnie na wszystkie strony przy wkraczaniu do „nieprzyjacielskiego" miasta — zdumieni byli mojem przywitaniem i powodzią pytań, które na nich wysypałam. Po długich wyjaśnieniach z mojej strony, zdołałam wreszcie dowiedzieć się z żalem, że... nic o losie Strzelców niewiadomo.

Gdy tak stałam na szosie, zawiedziona i niepewna, wypytując teraz z kolei jakiegoś oficera dragonów, którym tymczasem nadjechał — nagle obstąpiło mnie kilka nieznanych „cywilów", lecz z Zawadzkim na czele.

Byli to dawni bojowcy z 1905 r., przed bitwą 12. VIII wypuszczeni przez Strzelców z kieleckiego więzienia i to: Sokół — Broniław Gorgol zmarły w sierpniu 1925 r., Braciszek — Zbrowski, ob. pułk. Poniatowski — Wład. Lizuraj. Nie zdążyli oni się przyłączyć do cofającego się oddziału i pozostali na łasce mieszkańców Kielc, z pochwyconymi gdzieś mauzerami i wielkim zapasem naboi. Kilka znajomych domów odmówiło im wręcz przytułku — aż późnym już wieczorem przygarnął ich wreszcie... ubogi żydsadownik*) ukrywając ich pod gęstymi krzakami agrestu. Tam przebyli owe 2½ dni, nie ruszając się z miejsca, drzemiąc zaledwie w nocy kolejno, jak zające pod miedzą, z obawy, by ich oddech głośniejszy nie zdradził. Zacny żyd przynosił im pożywienie, okrycie na noc, a także wieści o biegu wypadków. Kilka razy kozacy przejeżdżali tak bliziutko, że chłopcy chwytali już cichaczem za swe mauzery, gotując się do strzału i krzepiąc się dziką myślą, że naboi starczy na całą sotnię i życia się tanio nie sprzeda...

Gdy się tylko zaczęła muzyka armatnia i ucieczka kozaków — trzej bojowcy wyfrunęli ze swych krzaków, jak ptaki z otwartej nagle klatki. Traf zrządził, że spotykali ciągle po drodze spłoszonych rosyjskich szpiegów, znanych im doskonale z twarzy — nie namyślając się, położyli ich trupem 9-u w tym krótkim czasie — i wpadli z mauzerami do magistratu, gdzie zastali jeszcze 27 „strażników". Na krzyk „ruki w wierch"! podniosło to wszystko ręce do góry i najpotulniej dało się obłuskać trzem młodzieńcom ze wszelkiej broni.

To też spory stos szabel i rewolwerów leżał na chłopskim zarekwirowanym wozie — te trofea wskazano mi w opisanym wyżej momencie, jako dowód, że ich zdobywcy muszą corychlej przedrzeć się do naszej Komendy, gdyż dłuższy pobyt Austrjaków w mieście jest jeszcze bardzo niepewny. Miałam decydować się odrazu; czy zostaję tu sama na niepewne losy, czy też natychmiast, w ciągu kilku minut, ruszać z nimi och, zostać tu i może znowu, przechodzić te same męki? raczej już śmierć!

Nie pozwolono mi nawet mimo nalegań skomunikować się z Olą i Szarą, zaledwie zdążyłam wrzucić swe graty do kuferka i po prędkiem pożegnaniu oszołomionych pp. Filipowskich, już dźwigałam go na drugi, wyścielony słomą róż, zagarnięty tymczasem przez energicznych chłopców. Dobrotliwie powiedzieli oni spotkanemu chłopu, — pokazując przytem dyskretnie kolbę mauzera — że pojedzie z nami w stronę Chęcin, i że byłoby zpewnością mocno dla niego przykre, gdyby się wzdragał to uczynić. Chłop przedtem niechętny przedzierzgnął się cały w gorliwość, uprzejmość i — rzekłbyś — spokojne zadowolenie.

Jeszcze na wsiadanem padły szybkie pytania;

— „Strzelać umiecie?"

— No, naturalnie! a poco?"

Bo podobno plączą się resztki kozaków na drodze do Chęcin — możliwe spotkanie"...

— Cudownie! dawajcie broń!"

Z głęboką satysfakcją odebrałam browning i przewiesiłam przez ramię torebkę, pełną naboi. Teraz do-

*) Żałuję, że nie znam nazwiska tego szlachetnego człowieka.

piero czułam się prawdziwie na wojnie! Na Moskali jednak nie natknęliśmy się nigdzie.

Spotykanych po drodze oficerów austrjackich zatrzymywałam kilkakrotnie pytaniami. Jeden z nich opowiadał nam dość dokładnie i z zupełną stanowczością, że w bitwie pod Chęcinami połowa Strzelców wyginęła, lecz Chęciny utrzymali. Podniósł się w piersi wielki ból, i większa jeszcze duma.

— „Czemużeście im nie przyszli na pomoc?“

— „Zawcześnie wtedy było, artylerja jeszcze nie nadeszła; błagaliśmy ich, by się cofnęli razem z nami, lecz takich idealistów ani rusz przekonać. Ależ dzielni chłopcy!“

Dopiero w Chęcinach, gdzieśmy dotarli wieczorem, spotkany znajomy Strzelec zaprzeczył stanowczo pogłoskom o tak wielkich stratach. Okazało się, że sztab nasz stoi blisko Chęcin, we wsi Korzecku — gdzie też podążyliśmy nazajutrz rano po rozkazy.

Dalsze dzieje Legjonów.

(1917—1918).

Z powodu rewolucji w Rosji nieliczyły się już Niemcy i Austrja z nową ofenzywą rosyjską na wschodzie i stopniowo wycofały się ze swej polityki polskiej. Austrja oddała Legjony dnia 10 czerwca 1917 gubernatorowi niemieckiej okupacji gen. Beselerowi, jako ich naczelnemu wodzowi.

Przyszła wtedy sprawa przysięgi wojskowej.

Brygada pierwsza i trzecia nie złożyła tej przysięgi, z Brygady drugiej część złożyła.

Odmawiających złożenia przysięgi pochodzących z ziem z pod zaboru rosyjskiego osadziły władze niemieckie w obozach jeńców w Benjaminowie i Szczypiórnie. Resztę Legjonistów około 12.000 wywieziono do Przemyśla, gdzie połowa opuściła szeregi, ukrywając się w różnych miastach i wioskach, względnie odeszła do wojska austr.

W tym też czasie aresztowali Piłsudskiego i szefa Sosnkowskiego, o czem osobno napiszemy obszerniej.

Tak więc z całych Legjonów pozostało około 1.200 ludzi w Królestwie jako t. z. Polska Siła Zbrojna, oraz około 6 000 w Małopolsce, jako Polski Korpus posiłkowy, który w końcu odszedł z gen. Hallerem na front bukowińsko-bessarabski. Polska Siła Zbrojna, wzrosła do 5.000 ludzi znakomicie wyćwiczonych, którzy stali się prawdziwą kadrą wojska narodowego.

Komendant przybywa na Zjazd Legjonistów do Warszawy dnia 8 sierpnia 1925 r.

Wyborna szkoła podchorążych pod dowództwem ówczesnego majora Kukiela przygotowała dzielne zastępy dobrych oficerów a także funkcjonująca szkoła podoficerska oddawała wiele przy wychowaniu podoficerów.

Prócz tego Legjoniści w przeważnej części kierowali P. (polską) O. (organizacją) W. (wojskową), która konspiracyjnie przygotowywała się do walki z Niemcami. W Małopolsce stojący P. K. P. — po zawarciu traktatu brzeskiego kiedy to austrjacy oddali Ukraińcom Chełmszczyznę — dnia 15 lutego 1918 r. przebojem przeszedł linję austr. i skierował swój marsz do korpusów polskich w Rosji.

Udało się przejść tylko piechocie z Hallerem i Żymierskim; więc około 1.200 ludzi przebiło się pod Rarańczą, resztę a to artylerję, tabory i oddziały pomocnicze przytrzymali Austrjacy, rozbroili i aresztowali.

Wtedy rozwiązano P. K. P., część „niewinnych“ wcielono do wojska austr., część osadzono w więzieniu w Marmaros-Sziget i oddano pod sąd wojenny. O tem również osobno napiszemy.

Odtąd Legjoniści, rozbici lecz zawsze na duchu silni — czy to w P. O. W. czy na Podolu, Ukrainie, na Murmanie, Kubaniu i Syberji, czy we Francji lub Włoszech — wszędzie do końca dzierżyli sztandar idei Legjonowej — i wszystkiemi drogami dążyli do wyzwolenia Ojczyzny; a, gdy złoty róg zatrąbił, stanęli znów razem, by wywalczyć granice Państwa!

Ile jeszcze ofiar, krwi i trudów oddali Legjoniści w latach 1918—1920 — będziemy mieli możność skronikować w następnych zeszytach „PANTEONU POLSKIEGO“.

Pomnik na mogile ś. p. por. Kuby Bojarskiego, Lublinianina poległego w 1914 r. pod Łowczówkiem i pogrzebanego w Zakliczynie.

Uwięzienie Komendanta przez Niemców!

(Z.) Dymisja Komendanta, o czem już pisaliśmy, wywołała stanowczy zwrot w polityce zdrowo myślącego społeczeństwa a duży przełom w Legionach.

Większa część Legionistów odmówiła składania przysięgi i tych jużto internowano — jużto wcielano do armii austrjackiej.

Równocześnie rozpoczęli Niemcy represje przeciw P. O. W. Rozpoczęły się aresztowania, wywożenia, prowokacje, rewizje i inne policyjne sposoby, by tylko stłumić ten ruch żywiołowy, ten wysiłek narodu zdolnego do walki o wolność.

Dnia 22 lipca 1917 r. nad ranem aresztowano Komendanta i jego szefa sztabu Sosnkowskiego.

Szybko wywieziono ich na dworzec główny, skąd w asyście oficera żandarmerji i kilku żołnierzy, okrężną drogą na Poznań, Tczew dojechano do Gdańska. Tu zamknięto Piłsudskiego w celi wojskowego więzienia dla szeregowych.

W międzyczasie obwieścił niem. generał gubernator w Warszawie, że aresztowanie Komendanta nastąpiło na podstawie „używania przez Komendanta fałszywego dokumentu podróży" a także „że Piłsudski jest notarycznym wodzem P. O. W., a Sosnkowski jego najwybitniejszym pomocnikiem" i, że „P. O. W. ma cechy spisku podziemnego" i t. p.

Dla ratowania „kraju" i zabezpieczenia tyłów walczących wojsk, aresztowanie Komendanta było rzeczą konieczną — kończy komunikat.

Przypadkowo dostała się do rąk Komendanta jakaś gdańska gazeta z tym komunikatem i natychmiast przez ręce komendanta więzienia wysyła Piłsudski protest, udowadniając, że posiadał legalny dokument podróży, wystawiony przez reprezentanta n. k. armii austr. przy warsz.-gen.-gubern. i wreszcie dokumentem udowodnił bezpodstawny zarzut Besselera.

Gen. Gubernator warsz. odwołał poprzednio podniesione zarzuty dnia 3 sierpnia 1917 r. na łamach „Warschauer Zeitung", gdzie umieszczono następujący komunikat:

„Przyaresztowanie Piłsudskiego i przywiezienie do niemieckiej fortecy spowodowały dyskusję, która zaciemnia istotny stan rzeczy.

Jak stwierdzono w Nr. 21 „Deutsche Warsch. Ztg.", zarządzenie to nastąpiło, gdyż pod żadnym warunkiem poza frontem wschodnim — zresztą również i dla obrony Polski(?) za ciężko walczącemi wojskami nie można ścierpieć rzeczy, które na szwank narażają bezpieczeństwo wojskowe.

A tak postępowała tajna P. O. W., za którą w pierwszej linji Piłsudski ponosi odpowiedzialność.

On jest odpowiedzialnym za to, że podstawa P. O. W., która z początku, jak się wydawało, stopi się z powstającem nowem wojskiem polskiem, stawała się coraz bardziej nieprzyjacielską dla mocarstw centralnych i, że jej podziemne organy coraz bardziej drażniąco przemawiały. Jego obciąża, że P. O. W. w ostatnim czasie wydała instrukcję z licznemi wskazówkami, na mocy których miała być wprowadzona zaostrzona i zupełna konspiracja.

P. O. W. miała stworzyć tajne państwo w państwie z odpowiedniemi organami i przynależnych do tego tajnego państwa zobowiązać przysięgą do bezwzględnego posłuchu.

Notorycznie jest Piłsudski rzeczywiście głową P. O. W., stwierdzono ponadto, że do Departamentu wojskowego Rady Stanu prócz swego przyjaciela Sosnkowskiego równocześnie i z równych powodów aresztowanego, wprowadził jako pomocników członków P. O. W.

Nie pozostawało więc nic innego, jak ująć go wraz z współwinnymi.

W związku z aresztowaniem jego, które nastąpiło ze względu na bezpieczeństwo wojskowe, była na tem miejscu mowa, że Piłsudski, przekraczając granicę Królestwa, wedle meldunku austrjackich władz, użył legionowego dokumentu podróży, zaś, jak dochodzenia tutejsze wykazały, taki dokument legionowy nie istniał.

Obecnie wykazało się, że Piłsudski był w posiadaniu wystarczającego austrjackiego dokumentu podróży, tak, iż nie wiadomo, dlaczego miałby się posługiwać nie tym dokumentem, lecz fałszowanym. Wobec tego nie jest wykluczonem, że u władz austrjackich zaszła omyłka i, że podejrzenie używania fałszywego paszportu jest bezpodstawne.

Aczkolwiek to podejrzenie przy aresztowaniu Piłsudskiego w stanowczej formie zostało ujawnione i na tem miejscu zostało powtórzone, nie zwlekamy, aby je na tem samem miejscu zdementować, stwierdzając równocześnie, że aresztowanie jego i współwinnych było koniecznością, celem zapobieżenia, aby — powtarzamy to raz jeszcze — w nowopowstającej Polsce poza plecami walczących wojsk, nie rozwijały się rzeczy, nie należące do żadnego prawnego ustroju państwowego".

Komendant pozostał zatem w więzieniu! Po kilku dniach pobytu w Gdańsku przewieziono Piłsudskiego do Szpandawy a po tygodniu wywieziono Go aż do twierdzy Wesel nad granicą Holandji.

Komendanta więziono i transportowano zawsze osobno a Sosnkowskiego, chociaż w tym samym dniu jednak innymi pociągami.

Aresztowanie Komendanta wywołało w całym kraju ogromne wzburzenie. T. Rada Stanu zaprotestowała przeciw represjom niemieckim. Wszystkie stronnictwa i zrzeszenia polityczne potępiły ten gwałt okupantów. Koło Polskie w Wiedniu uchwaliło protest przeciw wywiezieniu twórców i wodzów legionowych i zażądało natychmiastowego wypuszczenia aresztowanych.

Masowe protesty w Warszawie, Krakowie, Lwowie i na prowincji stały się co raz silniejsze, częste były starcia z policją, uchwały rad miejskich, zgromadzenia i cała ulotna literatura, powstała z tego powodu, zjednoczyły cały naród i uniemożliwiły na przyszłość jakąkolwiek koncepcję z Niemcami.

Tymczasem Komendant i Sosnkowski przeżywali ponure chwile w ciężkiem więzieniu pruskiem. Nie widywali się nigdy, ledwie przez dwie godziny dziennie pozwolono im spacerować na placu w cytadeli (naturalnie każdemu w innej godzinie), przed kratami żelaznemi umieszczono jeszcze siatki druciane, „tylko“ co dwie godziny zachodził posterunek nocny do izb i zapalając światło elektr. przekonywał się o obecności więźniów — a jednak mimo wszystko Komenda twierdzy nie mogła wziąść na siebie odpowiedzialności za ewent. ucieczkę i o tem doniosła gen. gub. warsz.

Po otrzymaniu tej wiadomości, odniósł się Gub. warsz. do Min. wojny w Berlinie, by więźniów naszych natychmiast tak umieścić, aby wykluczoną była ucieczka.

Min. wojny zarządziło przeniesienie obu więźniów do Magdeburga, dokąd z końcem sierpnia 1917 obaj przybyli.

Po porozumieniu się Gen. Gub. wydano specjalne zarządzenia, które miały polepszyć pobyt w więzieniu. Komendanta umieszczono w małym domku, w środku fortecznego ogrodu, oddano mu 3 pokoje dość dobrze urządzone, traktowano go poprawnie, udzielano książek, dawano gazety niemieckie. Strzeżono Go jednak aż nadto dokładnie i wszystko zarządzono, by uniemożliwić ucieczkę, czego tak strasznie się obawiano.

W rok potem, bo w sierpniu 1918 r. pozwolono Sosnkowskiemu razem zamieszkać z Komendantem i od tego czasu dola „więźnia“ poprawiła się.

Przyszedł listopad — rewolucja i klęska Niemiec, otworzyły się wrota niewoli Komendanta, który z niemieckiego więzienia wracał do Polski, by stanąć na jej czele i ująć w swe żelazne ręce ster Państwa.

W przedmowie do ostatniej swej pracy „Moje pierwsze boje“ opowiada Komendant dzieje swe z czasów magdeburskich, a opuszczenie tego więzienia tak opisuje:

„Pewnego dnia w początkach listopada 1918 r., zjawili się dwaj oficerowie niemieccy ubrani już po cywilnemu. Oświadczyli nam, że jesteśmy wolni, i że mamy natychmiast wyjechać do Berlina, skąd o 6-tej wieczorem tegoż dnia odjeżdżamy do Warszawy.

Gdy zdziwieni, oglądaliśmy cywilny ubiór oficerów, powiedzieli nam oni z zażenowaniem, że rewolucja wybuchła w Magdeburgu i, że wyjedziemy autami, nie jako wojskowi.

Przepraszając, prosili nas bardzo, byśmy nie zabierali żadnych swoich rzeczy z sobą, gdyż obawiają się, że może to zwrócić uwagę manifestantów. Nie wiem, cobym był wówczas postanowił, gdyby w tem oświadczeniu oficerów nie było obietnicy, że już o 6-tej wieczorem będę siedział w pociągu, wiozącym mnie do Warszawy. Pod wpływem tej nadziei zdecydowaliśmy się z Sosnkowskim szybko. On wziął mały neceserek, ja wyszedłem z twierdzy magdeburskiej, zawinąwszy w papier najkonieczniejsze tylko przybory toaletowe.

Gdyśmy po przejściu, niby spacerkiem, niedalekiego mostu na Elbie przystanęli, zajechały dwa auta, które za chwilkę, w szybkim pędzie unosiły nas ze zrewoltowanego miasta“.

Tak więc posłannictwa Józefa Piłsudskiego nie mogły zniweczyć ani moskiewskie ani pruskie więzienia!

Po Mołotkowie.

Po bitwie Mołotkowskiej — w pierwszych dniach listopada 1914 r., wracali dwaj legioniści, w cywilnem ubraniu — do swych oddziałów, uchodząc z niewoli. Przy pomocy przewodników, ludzi trudniących się kontrabandą — idąc z Suchodołów, przebyli las górski, w którym wątpić należy, czy kiedy siekiera, lub piła czyniła spustoszenie. Pod wieczór wyszli, wprost na placówkę austr. landszturmu, pod wsią Zakła. Rosyjskie wyminęli. — Uniknęli też spotkania się z patrolem kozackim, który się prawie był przewinął. Landszturmista „pan gefrajter“ znajdujący się na placówce, odprowadził ich do kwatery kmdy. komp. stojącej w chałupie we wsi Zakła.

Tam usiłował przedstawić przyprowadzonych jako „szpionów“, których „niby“ widział rozmawiających z kozakami, za stogiem siana.

Wysłuchawszy to oficer kompanji, zadał po niemiecku kilka pytań legionistom, poczem kazał udać się samym na tyły do wsi Ludwikówki.

Drugi oficer-polak, przysłuchując się odpowiedziom leg. porozmawiał z nimi uprzejmie, interesując się Legjonami. Poczem leg. opuścili chałupę, udając się w dalszą drogę.

Lecz na drodze przystępuje do nich ten sam austr. „gefrajter" z czterema żołnierzami — będąc właśnie wysłany z raportem do grupy — bierze ich pod eskortę, przetrząsa kieszenie i prowadzi pod bagnetami.

Legioniści jako bezbronni na to niereagowali. Gdy stanęli we wsi Ludwikówce w budynku szkolnym; było już zupełnie ciemno.

Oficer-podpor., narodowości niemieckiej, odebrawszy raport na piśmie, zdziwił się mocno po przeczytaniu, że niema tam wzmianki o przyprowadzonych a których „gefrajter" znów przedstawił jako szpiegów.

Oficer rozkazał mu się oddalić, a przybyłych zapytał o kapsle legitymacyjne, których leg. niemieli — wreszcie pozwolił im spokojnie zanocować. Sam także oddalił się. Żołnierze — maruderzy — będący na sali, zasypywali pytaniami, ciekawie przybyłych, częstując ich przytem papierosami.

W tem zjawił się ordynans z rozkazem stawienia się przed majorem, dowódcą grupy w sąsiednim budynku

Z pewnym niepokojem weszli do izby, oświetlonej lampą stojącej na stole, założonym mapami, a obok siedziało czterech oficerów. Do przybyłych, major powstawszy odezwał się w te słowa: Wy jesteście legioniści? — Tak jest — brzmiała odpowiedź. — Z którego pułku? — Z drugiego p. p. — Kto komendantem pułku? — Pan pułk. Zieliński. — W której bitwie braliście udział? — Pod Mołotkowem 29/X. — Gdzie chcecie teraz iść? Wracać chcemy do swego pułku. — No dobrze. Ale zapewnie jesteście głodni. Żołnierze tu moi, trzy dni już chleba niedostali. Ale my oficerowie mamy jeszcze chleb, więc się z wami podzielimy. — To mówiąc — wziął ze stołu chleb i pudełko sardynek podał legionistom. Legioniści dziękując, poprosili o wystawienie przepustki aby bez przeszkód mogli udać się dalej.

Pan major własnoręcznie wystawił przep. tej treści:

„Dwaj leg. w cywilnych mundurach, udają się do swych oddziałów. Uprasza się organa wojskowe o ułatwienie im powrotu i t. d.

podpis *major Linde.*

Mjr. Linde, dziś generał dywizji W. P. tym skromnym aktem podkreślił swoją narodową przynależność i dał dowód, że należał do tych Polaków, których „bączek" nie potrafił wykreślić z całości narodu.

Maj Antoni.

UŁANI POLSCY W STANISŁAWOWIE.

(Lipiec 1917 r.)

Najdziksze oddziały armii rosyjskiej, idące zwykle na tyłach i na przodzie, kozacy, czeczeńcy i t. d., opuszczając Stanisławów, postanowili sobie „pohulać". Rozpoczęło się niszczenie i rabunek. Do jakich okropności by doszło, nie wiadomo. Na szczęście w południe, tegoż dnia, w przejeździe z Karpat, przybyli do miasta ułani polscy i ci, na prośby i przedstawienia burmistrza, p. Stygara, za zgodą generała wzięli się do robienia porządku. Ułani polscy wśród tej pożogi krwawej zjawili się jak cudem zesłani aniołowie-zbawcy. Natychmiast się wzięli do pracy. Musieli z rabującymi kozakami i sałdatami staczać wprost krwawe walki, odpędzając ich od resztek sklepów, wyciągając z domów, lub odbierając zrabowany łup.

Rozległy się po ulicach strzały, zaczęły się gonitwy, walki — ale rabunki ustały.

I tu się zaczyna tragedja bohaterstwa polskich ułanów. Nic to, że musieli w dalszym ciągu uganiać za rabującem żołdactwem, gorzej — przeszło na nich zadanie obrony odwrotu. Zrazu zapowiedziano im, że we wtorek, o godzinie czwartej po południu, mają miasto opuścić, a obronę odwrotu wezmą na siebie znowu kozacy.

Ale ułani o tem myśleć nie chcieli i oświadczyli, że zostaną do ostatniej chwili. A wtedy przyszedł od komendy kozackiej rozkaz, że ułani mają nietylko bronić odwrotu, ale i powstrzymać nadchodzące wojska austrjackie i niemieckie.

Kiedy się patrole austrjackie zjawiły, ułani, o godzinie szóstej wieczorem, przy współudziale nie licznej artylerji, która rozpoczęła intenzywny ogień, garstki piechoty i automobilu opancerzonego na prawem skrzydle, poszli do ataku.

Nie znający okolicy, wysłani zostali ku Krechowicom przez odkrytą zupełnie na pewnej przestrzeni drogę za parkiem, skąd ich łatwo było dostrzedz.

Rozwinęło się sześćset koni i wyrwało z kopyta. A kiedy byli w pełnym biegu i koni bez mundsztuków powstrzymać nie mogli, zaczęły padać konie i ludzie — zaczęły grać niemieckie karabiny maszynowe.

A kiedy się z przeszkodami uporali i poszli dalej do ataku, nie mogąc wytrzymać wśród strzałów, zdziesiątkowani, zwrócili się ku drodze, gdzie nadjechał rosyjski automobil pancerny i pod jego zasłoną skryli się do wsi za chaty. Tu już prażyły ich tylko strzały armatnie. Potem poszli znów do ataku raz i drugi. A potem, gdy się wycofali, musieli zapełnić okopy, które opuściła w popłochu piechota rosyjska i tam resztki ułanów polskich dotrwały końca... Reszta, około stu dwudziestu, rannych przeważnie, zdołała powrócić do Tyśmienicy.

Rozumiejąc całe bohaterskie poświęcenie się ułanów polskich, ludność Stanisławowa postanowiła złożyć im hołd. Około czterystu ułanów padło rannych lub zabitych. Jeden sposób, to uroczysty pogrzeb poległych, do wyszukiwania których zezwolił pruski generał komenderujący, Litzmann, użyć nawet pomocy jeńców, a drugi, to ulżenie im niewoli, względnie wyjednanie zupełnego dla nich uwolnienia i pozwolenia powrotu do Królestwa.

W tym celu zwrócono się do komendy pruskiej w Stanisławowie z odpowiedniem podaniem. Jeńcy ułani zostali też natychmiast wydzieleni z ogólnej liczby jeńców, pozwolono się z nimi widywać, obdarzać ich jadłem, pieniądzmi i tytoniem. Traktowano ich też z pełnymi honorami wojskowymi. Nadto zaopatrzono ich w odpowiednie pismo burmistrza i komendy, aby wszędzie, gdziekolwiek się udadzą, obchodziły się z nimi władze w odpowiedni, należny ich bohaterstu, sposób. Prócz tego wysłano do Koła Polskiego telegramy z prośbą o wyjednanie u władz wojskowych zwolnienia ich z niewoli i wysłania do rodzimych chat.

Pogrzeb zaś jednego z ułanów który zginął na ulicach Stanisławowa, kiedy już jako ranny ciężko złożywszy broń i otrzymawszy od oficera austrjackiego pozwolenie, udał się, by pożegnać się z rannym koniem (a trzy konie pod nim tego dnia ubito), pogrzeb tego 19 letniego chłopaka, Jana Wedlera odbył się 26 lipca 1917 r. w sposób niezwykle uroczysty i manifestacyjny. Tłumy publiczności wylęgły na ulice. W kościele parafialnym odbyły się o godzinie piątej popołudniu egzekwie według obrządku grecko i rzymsko katolickiego (rano odprawiono nabożeństwo w synagodze), poczem pochód uszeregowany, złożony z uczniów, uczenic i prawie samych pań, które niosły trzy wieńce i mnóstwo kwiatów, ruszył ku cmentarzowi.

Kondukt prowadził ks. prałat Piaskiewicz w otoczeniu całego duchowieństwa polskiego i ruskiego z ks. prałatem Litwinowiczem na czele. Karawan obsypany był cały kwieciem; za karawanem postępowała, w braku rodziny, p. Westfalewiczowa, reprezentanci Komitetu obyw., Sokoła i t. d.

Burmistrz miasta p. Stygar oddał cześć ułanom polskim, obrońcom miasta i w końcu odczytał list rannego pułk. Mościckiego który brzmiał:

„Burmistrzowi miasta Stanisławowa dowódca pułku przesyła te kilka słów, które chciał wypowiedzieć przy pożegnaniu. Polscy ułani spełnili jedynie swój obowiązek żołnierski i stanęli w obronie honoru armii rosyj. w szeregach której związani przysięgą i poczuciem obowiązku żołnierza walczą.

Korzystając ze szczęśliwej okoliczności prosimy Radę Sławetnego miasta Stanisławowa o przesłanie wyrazów Czci, Miłości, Wierności i synowskiego przywiązania do ukochanej, zbolałej i zniszczonej ziemi ojczystej naszej. Jedynym promieniem jasnym, który nam żyć każe jest głębokie przekonanie, że ta ukochana Polska nasza zmartwychwstaje teraz z gruzów

Grób ułana Wedlera w Stanisławowie.

i podnosi się do nowego życia, Wspaniała, Niepodległa i silna. Uznając powagę Rady Stanu i ciężkie zadanie jakie wzięła na swoje barki przesyłamy Jej wyrazy głębokiego szacunku.

Nowopowstającemu Rządowi Polskiemu składamy hołd! Przewodnikowi i budzicielowi militarnego ducha Polaków. Generałowi Piłsudskiemu, wiernemu Synowi Ojczyzny — Czołem!

Wierząc w rychłe wszystkich Polaków, walczących obecnie pod obcymi sztandarami o wolność Ojczyzny zjednoczenie w nowopowstającej pod sztandarem narodu armii w kraju naszym ukochanym szlemy szczere, serdeczne, braterskie pozdrowienie.

Niech żyje przyszła potężna polska armia, ostoja Wolności, Niepodległości Naszej! A, gdy ta Święta Nasza nareszcie Ojczyzna świtać światu będzie, to wszyscy jej synowie po świecie rozsiani w Niej swe miejsce odnajdą i Jej tylko służyć będą, teraz zaś niech nam ułanom polskim wolno będzie złożyć wszystkim Polakom najserdeczniejsze życzenia, by ta chwila już jak najprędzej nastąpiła.

Niech zagrzmi nad wszystkimi nasze hasło najświętsze:

„Niech żyje Wolna, Niepodległa Polska! Wiwat!“

Tak pisał po drugiej stronie frontu dowódca polskich oddziałów, które w ogniu walki... tęskniły i hołd składały Komendantowi... budzicielowi rycerskiego ducha Polaków!

PRZEJŚCIE II. BRYGADY POD RARAŃCZĄ

Połączenie się z II. korpusem w Sorokach BITWA POD KANIOWEM.

(Z.) Po traktacie brzeskim, na którym odstąpiono „Ukrainie" — Chełmszczyznę — dalsze istnienie Pol. Korpusu Posiłkowego po stronie państw cantralnych stało się niemożliwem.

Rozwiązanie tej formacji nie dawałoby żadnej satysfakcji społeczeństwu polskiemu, które masowemi demonstracjami, strejkami i uchwałami wyrażało swoje żądania i stanowisko swe wobec państw centralnych.

Równocześnie dochodziły nas wieści o powstaniu korpusu Muśnickiego, a cyfra 100 tysięcy żołnierzy, o których tu głośno się mówiło, zdawała się być potężnym ośrodkiem wzrastającej siły Państwa naszego.

Krótkie były narady oficerów, krótka lecz stanowcza decyzja i szybkie postanowienie.

— Brygada przechodzi granicę i łączy się z polskim korpusem na Ukrainie! —

W nocy z 15 na 16 lutego 1918 r., ruszyła brygada ze swego miejsca postoju ku dawnej granicy bukowińsko-bessarabskiej.

Przygotowanie do wymarszu i drogę do linji frontu tak oto opisuje dziś gen. Dr. Górecki, ówcześnie kapitan i główny inicjator tego historycznego aktu:

„Dnia 15 lutego przed i po południu gorączkowa praca i ruch panował wśród legjonistów. Intendantura korpusu pobrała w ostatnim momencie z magazynów austrjackich ekwipunek, a szczególnie buty, które żołnierze w dniu wymarszu otrzymywali. Pobrano również i rozdano żołnierzom racje rezerwowe, a wreszcie w ostatniej już chwili pobrano w austrjackiej kasie operacyjnej, dotację w wysokości kilku miljonów koron. Wszystko na drogę... Austrjacy nie domyślali się niczego. Jak dalece byli w nieświadomości, świadczyć może taki fakt.

Gdy w Mamajowcach zarządzono pogotowie marszowe i gdy żołnierze poprostu zaczęli się żegnać z ludnością miejscową, przyczem mówili wprost o dalekiej podróży; komendant posterunku żandarmerji w Mamajowcach, wachmistrz żandarmerji, poszedł o g. 1 po południu do Czerniowiec i zameldował pułk. Fischerowi, komendantowi żandarmerji polowej przy grupie operacyjnej Kossak, że legjoniści gdzieś się wybierają, że mówią o odejściu do Muśnickiego i t. d. Meldunek miał ten skutek, że zirytowany pułkownik zwymyślał biednego żandarma i zagroził karą, jeżeli będzie podobne brednie służbowo meldował.

Żandarm wrócił niepyszny do Mamajowiec i tam tego samego wieczora tuż przed odejściem piechoty został związany, by przypadkiem po raz drugi nie poszedł do Czerniowiec i nie zameldował tym razem już o fakcie dokonanym.

A tymczasem szykowano się do drogi. Dla pozoru postanowiono, że idziemy na nocne ćwiczenia z ostrem strzelaniem. Żołnierze wiedzieli dobrze, że to tylko dla zmylenia.

To też w postawie służbowej zapytywali posłusznie dowódców:

„Panie kapitanie, po ile granatów ręcznych rozdać kompanji na te ćwiczenia".

A tylko oczy im się śmiały i mówiły: „Wiemy, wiemy, co to za ćwiczenia z ostrem strzelaniem — i dobrze ćwiczyć będziemy".

Równocześnie w Łużanach zarządzono rownież pogotowie marszowe oddziału sztabowego i telefonicznego i zakładów, a więc taborów, piekarni polowej i kolumny sanitarnej.

Gen. Dr. Roman Górecki w więzieniu w Huszt 1918 r.

O godz. 6 min. 30 wieczorem ruszyła z Mamajowiec piechota i nieco wcześniej ruszyły z różnych miejsc postoju poszczególne baterje wreszcie o godz. 8-ej wieczorem ruszyły tabory Dowództwa Korpusu.

Piechota wyszła wcześniej, ponieważ nie mogła maszerować wprost najkrótszą drogą t. j. gościńcem na wschód tuż pod Czerniowce, lecz zeszła odrazu z gościńca na północ, potem przez Sadagórę a następnie gościńcem w kierunku południowo-wschodnim do zbiegu szosy od strony Czerniowiec — w kierunku na Rarańczę.

Dnia 15 lutego o godz. 9 wieczorem wszystkie oddziały i zakłady Legjonów z różnych miejsc postoju były w marszu na wschód, którego bezpośrednim celem było zgrupowanie się w wymienionym wyżej zbiegu dróg — poczem miało nastąpić przegrupowanie do marszu bojowego w kierunku na Rarańczę.

O godz. 10 min. 45 w oznaczonym wyżej miejscu złożyłem meldunek brygadjerowi Hallerowi o sytuacji w dowództwie korpusu. Mijały nas kolumny baonów 2 p. p. potem oddziały karabinów maszynowych. Brygadjer zapytał, czym w podróży nie spotkał artylerji na przeczącą odpowiedź — powiedział: spóźnili się,

czy nie zdążyli. Poczem pojechał za 2 p. p. Za nimi szły kolumny 3 p. p. a wreszcie tabory pułkowe. Wszystko zdążało już wprost na Rarańczę. Z daleka dochodził odgłos taborów dowództwa korpusu, które już mijały Czerniowce. Na zbiegu dróg zostawił brygadjer oficera łącznikowego, który miał czekać na artylerję i dać jej rozkazy.

Ro kilku kwadransach rozległy się odgłosy ognia karabinów maszynowych — to piechota rozprawiała się z Austrjakami pod Rarańczą i w samej wsi, torując sobie drogę do frontu.

Niebawem odezwały się strzały w przeciwnej stronie, t. j. na północny zachód od Czerniowiec — to pociąg pancerny, wysłany z Czerniowiec przeciął drogę (w miejscu, gdzie tor kolejowy krzyżuje się z szosą) taborom korpuśnym, rozrywając ich kolumnę na dwie części.

— — — — — — — — — — — —

O godz. 6 nad ranem (dnia 16 lutego) piechota już była po tamtej stronie frontu. Tabory pułkowe, mijając Rarańczę, dotarły najdalej, lecz dostały się w ogień artylerji, która ze wzgórza Dołżoku zadała im dużo straty w ludziach i koniach. Natomiast tabory korpuśne zostały rozbrojone na północ od Czerniowiec i Mahali. Artylerję rozbrojono w Sadogórze o godz. 2 po północy".

Około 100 oficerów i 1500 szeregowych przeszło po walce obsadzone przez austrjaków granicę — reszta pozostała po tej stronie frontu i po walce rozbrojoną, aresztowaną i postawioną pod sąd wojenny.

Owczesny pułk. Józef Haller wysłał pismo do społeczeństwa polskiego tej treści:

Cios, który uderzył w ledwie powstające Państwo odczuwamy głęboko wraz z całym narodem. Broniliśmy wschodnich granic powstającej Ojczyzny — pozostały nad Styrem gęsto rozsiane mogiły naszych towarzyszy broni jako kopce graniczne, które znaczyć mają wschodnią ścianę Polski. — Do obrony tych granic chcieliśmy porwać cały naród. Z radosnem biciem serca wkroczyliśmy do Warszawy, by armię budować do walki o święte nasze, dziś zdeptane, prawa. Inaczej zrządziły losy.

Na tułaczce, wyczekując rozkazów od własnej państwowej władzy, wyczekując wezwania do podjęcia na nowo raz już rozpoczętej pracy, doczekaliśmy się gromu z ręki chcących stanowić o nas bez nas.

Prawa zdobywają silni. Siły z narodu dotąd nam się wykrzesać nie udało. Ciężka dola nas hartowała i dziś w chwili klęski nie uchylimy czoła przed mężną przemocą. Tem wyżej wznosimy nasz sztandar walki w myśl hasła kościuszkowskiego o wolną, niepodległą Ojczyznę — tem korniej przy nim staniemy. W tej chwili ciężkiej, która naród cały skupiła w jedno ciało ślubujemy. że sztandaru walki nie opuścimy, że broni nie złożymy, aż naród, krzywdą haniebną zjednoczony i z uśpienia obudzony, własnemi swemi siłami, własnemi swemi dłońmi dźwignie gmach swego wolnego, narodowego Państwa w takich granicach, które mu żyć i rozwijać się pozwolą.

Żołnierski nasz obowiązek kazał nam iść tam, gdzie powstaje polska siła zbrojna, skoro dla nas w kraju możność budowania armii polskiej ustała.

Rozmieszczone na Bukowinie oddziały Legjonów Polskich z Dowództwem Korpusu na czele przeszły granicę, by dążyć do połączenia z polskimi oddziałami wojskowymi po tamtej stronie frontu.

Kwatera sztabu, dnia 15 lutego 1918.

JÓZEF HALLER m. p.

Przejście to było ostatnim aktem wielkiej i wspaniałej tragedji Legjonów Polskich i było to zarazem wielkim tryumfem bohaterskiej ideologii legjonowej, która różnemi drogami krocząc — w końcu przejść musiała na jedyną drogę, którą od początku wojny stąpał Józef Piłsudski.

Podajemy poniżej opis tego przejścia, według listu jednego z żołnierzy-taborytów do rodziny we Lwowie.

List ten pisany już z frontu włoskiego w kwietniu 1918 r. opiewał:

„Działo się to... roku 918, dnia 15 II. W nocy z 14 na 15 lutego odbyło się zebranie wszystkich pewnych oficerów i narada jakie stanowisko ma zająć Leg. po tym traktacie brzeskim. Jak wiesz cały naród oburzony na szwabów i austr. to i my nie będziemy dalej razem z nimi, tembardziej, że w Rosji są korpusy polskie, które walczą o wolność tę, której my za trzy i pół roku nie otrzymali, tylko same obiecanki. Narada wypadła nie za zgodą wszystkich oficerów, bo byli przeciwni temu. Tych wieczorem przed wymarszem aresztowano część z nich zabrano ze sobą a resztę zamknięto. W piątek t. j. 15 lutego od rana wydaje się z magazynu wszystko co jest lepszego, by jak najmniej zostawić. Naprawa butów, wydawanie naszego podręcznego magazynu i t. d.

Przywieźli jeszcze z austr. intend. 10 wozów nowych mundurów, także rozdali na pułki.

Wieczorem zbiórka z trenami, każdy żołnierz miał zaprowiantowanie na trzy dni.

Po drodze którą przechodzimy, leżą już poprzecinane druty telegr. słupy powalone, mieli nawet most wysadzić i szyny kol. rozebrać. Podobno tego zozkazu z obawy, nie wypełnił oficer. Wielki był błąd i straszne skutki. Po drodze złapaliśmy trzy auta, jedno ciężarowe, jedno z oficerami austr. a jedno z eks. Schillingem. Wszystko jechało za nami. Był zamiar po przejściu linii puścić ich z powrotem.

Ale zaledwie prześliśmy przez Żuczkę pod Czerniowcami, koło Machali zajechał pociąg pancerny w poprzek gościńca, wozy stanęły. Nagle zjawia się oddział madziarów i żąda pod groźbą strzelania, oddania karabinów. Do osłony tego 5 km. trenu dali 20 ludzi i to nie liniowych, z karabinami, bez oficera i 6 ludzi ze szturmówki. Ci przed patrolą pochowali się. Gdy madziary odeszli, ci z karabinami podsunęli się naprzód i strzelanina. Patrol odpowiada dość gęsto. Konie się płoszą, wozy wywracają, nawet i ranny już lest. Ale lepszy grzechot słychać pod Rarańczą. Tam cała wojna. Maszynki, pojedyncze karabiny a nawet

i artylerję słychać. To piechota się przedziera. Gdyby nie ten pociąg to i my przeszlibyśmy. Po pierwszych strzałach do nas, żołnierze schodzą się w kupki, co robić, jedni, którzy znali okolice poszli naprzód w nadziei, że złączą się jeszcze z kolumną, a drudzy wrócili się w stronę Czerniowiec z rezygnacją poddania się austr. Nie długo czekali, bo zaraz za wozami o 1 km za nami szła kolumna austr. by nas zabrać. Jak mówię, było wszystko zdradzone przez maj. Postolkę, pepika z P. K. P. Na froncie były ściągnięte rezerwy a pole po obu stronach gościńca obstawione wojskiem z karabinami masz. Za nami szli austr. zbierać nas. Pod silną eskortą odprowadzili nas do Czerniowiec do koszar. Siedzieliśmy tam pół dnia potem w kolumnach obstawionych austr. na ostro do Żuczki. (Jak prowadzili nas do Cz. to niektórzy oficerowie austr. mówili „Brawo legjony" a inni pluli na nas wyzywając). Schilling w drodze złapany, mówił „chłopcy co robicie, wy zawsze z tą za.... ą polityką waszą" później przy strzałach „to ja ekscelencja stary osioł muszę siedzieć w rowie jak długo wojna to tak blisko kul nie byłem". W Żuczce dołączyliśmy się do tych, którzy tam byli i pomaszerowaliśmy pod eskortą na każdego Leg. jeden austr. z nabitym karabinem i bagnetem „auf", obok jeszcze jedna tyraliera z każdej strony z maszynkami. Za nami idzie oddział saperów z łopatami piłami i t. d. Podobno był rozkaz ofic. i podofic. rozstrzelać a żołnierzy dziesiątkować. Jeden kap. austr. sprzeciwił się temu. Zaprowadzili nas do szkoły w Mamajeszti. Tam staliśmy dwa i pół dnia, obstawieni wartą, która nie dopuszczała ludzi, którzy znosili nam jeść. Austr. dali raz kawę i 1 konserwę na pięciu. Później wagonowanie w Łużanach. Jedziemy na Węgry. W pociągu dali dwa razy kawę, raz chleb na ośmiu i 1 konserwę na pięciu. W Kołomyji staliśmy dłużej, tam wysłaliśmy listy przez cywilów i jeden zwiał, no ale w swojem mieście. Ja nie mogłem wiać bo był zemną Wojtuś, samego nie chciałem go zostawiać. Ja stary wojak nie obawiałem się niewoli, bo jak to mówią byłem już na wozie i pod wozem, ale tego rekruta co dopiero z domu poszedł nie chciałem zostawiać samego. W domu to chybaby mi łeb urwali, że zostawiłem go w takiej biedzie samego niedoświadczonego, a we dwójkę wyrywać, dość trudno, Dojeżdżając do stacji widzimy batalion wojska jak rozwija się, tworzy czworobok, nabija karabiny i nasadza bagnety. To my tu wysiadamy. Do każdego wozu podchodzi patrol i zabiera z wozu i odprowadza do czworoboku. Po zebraniu się wszystkich znowu grożą rozstrzelaniem za niesubordynację lub próbę ucieczki. Jeden oddział idzie dalej, my zaś do baraków im. ces. Zyty. Brudno, leje się na głowę jak jest deszcz, warta przy każdem oknie, drzwiach a w środku kilku spaceruje także. Palić papierosów nie wolno bo zaraz spotkasz się z łapą madziara i kolbą. Na stronę wyprowadza posterunek po jednemu. Żywią nas okropnie. Rano kawa ($^1/_4$ litry) w południe buraki i wieczór buraki ale trochę mniejsza porcja jak w południe. Chleb raz na pięć dni bochenek dla czterech. Pisać nie wolno, kupować nie wolno — rozpacz. Dopiero po półtora tygodnia pobytu pozwolili pisać i kupować jedzenie.

Ale cóż kupił, mamałygę i bułeczki, chleba bardzo mało a drogi aż strach. Jednak każdy kupował bo głodny.

W trzecim tygodniu dwóch zemdlało z osłabienia, bo od początku żywili się tem co dawali, pieniędzy zaś swoich nie mieli by dokupić. Później przyjechał do nas eks. Schilling na wizytację, jemu więc poskarzyli się na obchodzenie się madziarów z nami (bicie po gębie nawet sierżantów przez rekrutów bicie kolbami, zaostrzenia na własną rękę wydawanych i t. p. to było na porządku dziennym). Już poprawiło się i jedzenie i obchodzenie się z nami, nawet palić wolno. Zbeształ ofic. madz. za rewizje i odbieranie lepszych części wyekwipowania. Tak ja męczyłem się pełnych 4 tygodnie. W tym czasie byłem w sądzie do spisania protokołu ale każdy zeznawał że wypełniał rozkaz, bo wyżsi ofic. wzięli winę na siebie. Zamykali tych, którzy wiedzieli gdzie idą t. j. do Muśnickiego. Jak mieliśmy odjeżdżać był znowu eks. Schilling oddzielał królewiaków, obcopoddanych i małoletnich a poddanym austr. powiedział, że pojedziemy zdaje się do Udiny. Powiedział nam także, że popełniliśmy ordynarną zbrodnię kradzieży, chcieliśmy zabrać mundury, broń, amunicję, konie, wozy, a nawet wyfasowaliśmy pół miljona koron i wszystko chcieliśmy wywieźć do nieprzyjaciela. Była to odpowiedź eks. Sch. na zapytania nasze, o co jesteśmy obwinieni. Na każdy raport taki przed eks. i codzienny spacer wychodziliśmy na pole obstawieni madziarami.

Z baraku uciekło 6 leg. a z nimi 27 madziarów którzy nas pilnowali (ale nie z posterunku). Także zwalili na nas, że zbuntowaliśmy madziarów. Kilku złapali. Przed wsadzeniem nas do pociągu kąpiel, dezynfekcja i rewizja aż do bielizny. Szukali tysięcy.

Drogi opisywał ci nie będę, tylko, że jechaliśmy do Udine pod bagnetami, ale już nie tak ostro było. Po tygodniu jazdy dopiero w komendzie grupy P. w Villa orba warta odstąpiła nas i została obrzucona kamieniami. Na kwatery poszliśmy do Meretto.

Zapomniałem dodać, że nam także broniła przejście 13 p. p. ale oni robili zamieszanie w austr. reg., aby nam ułatwić przejście. Zdaje się jeden baon ich poszedł z Hallerem. Z pozycji zabrali artylerji trochę i tak urządzili, że madziary, którzy chcieli złapać II Bryg. strzelali do siebie. Pewnej liczby strat nie znam, mówili, że w Leg. jest 200 strat a madziarów 900, niektórzy liczyli na tysiące. Tu po dwóch tygodniach ubrali nas w czapki z F. J. I. lub K. i ćwiczyliśmy. Morowo dosyć, bo kap. Olszyna z Leg. jest komd. komp. a komd. baonu jest rzeszowiak obl. Burdziak, także pol. verd. Jedzenie dosyć marne, sama mamałyga.

Przejście przez Ukrainę i bitwę pod Kaniowem podamy w następnym numerze.

C. d. n.

EDWARD SŁOŃSKI.

Żelaznej Brygadzie.

(W rocznicę przejścia frontu).

Pod ogniem dział huraganowym
światu rzuciliście pod stopy
bunt przed podziałem Polski nowym,
we krwi wleczony przez okopy.

A choć pod ogniem i żelazem
szliście przez front z płonącym lontem.
front był ten sam, bo i tym razem
wróg Polski stał przed waszym frontem.

Duch dostojnego Więźnia stanu
hetmanił wam, jak dawniej w bojach,
wiódł was za Dniepr z nad brzegów Sanu
i straż gdzieś trzymał na postojach.

Z Jego to myślą, z Jego słowem,
z Jego wiarami zwycięzkiemi
szliście krwią stwierdzić pod Kaniowem
prastarą polskość Chełmskiej ziemi.

Rok cały minął... Skroń wawrzynem
wieńczą zwycięzcom na bulwarach...
Gdzież wieńce dla was?.. Krwi rubinem
szlak wasz w stepowych płonie jarach.

Gdzież wieńce dla was?.. Polska żywa
drży pod salwami armatniemi,
i Śląsk was wzywa, Śląsk was wzywa
wczorajszym krzykiem Chełmskiej ziemi.

Czech mu przygrywa na basetli
i smuci zamiast rozweselać...
Jakże będziemy wieńce pletli
kiedy musimy jeszcze strzelać?

15 lutego 1919 r.

Mój najlepszy wywiad.

(Wyjątek z pamiętnika).

21 sierpnia 1914 r. wieczorem znalazłyśmy się we trójkę: „Jadwiga", Wanda Filipkowska i ja — w Radomiu, zajętym jeszcze przez Moskali. Przybyłam tam prosto z kwatery strzeleckiej w Bolminie, z rozkazem wywiedzenia się jaknajwięcej o nieprzyjacielu, na terenie pomiędzy Radomiem, Iwangrodem, Zwoleniem i Przysiekiem. Jadwiga z Wandą miały polecenia aż do Warszawy — lecz musiały się zatrzymać jeszcze przez 2 dni i dlatego Wanda z bratem mogli mi towarzyszyć nazajutrz w wyprawie wywiadowczej, która była już postanowiona.

Szło tylko o to, w którą stronę się skierować. Długo namyślałyśmy się we trzy nad dużą mapą lecz nic nie wskazywało, który kierunek obraćby trzeba najpilniej. Przemógł ostatecznie wzgląd praktyczny: potrzeba zdobycia własnych koni na stałe rozjazdy z Radomia — jako elementarnej podstawy zorganizowanej, energicznej pracy wywiadowczej. Konie mogły nam dać dwa w okolicy domy, zobowiązane moralnie do świadczeń dla naszej Sprawy, jako zaangażowane w ruchu Drużyn Strzeleckich jeszcze przed wojną: jeden z nich był bliżej, ku południowi, drugi, Czaplińskich, za Zwoleniem. Nie pojmuję dziś, co za cudowne natchnienie kazało mi wybrać ten drugi właśnie, choć znacznie dalszy. Może jakieś okoliczności nasunęły mi przypuszczenie, że w tamtej stronie łatwiej mogę zdobyć jakieś wieści? w każdym razie jednak nie przewidywałam tego, co się stało.

22 sierpnia o 6-ej rano wyruszaliśmy, umówioną już poprzednio dorożką. Za miastem ogarnął nas dziwnie miły, wesoły nastrój pogodnego, świeżego poranku. Rozmawiałyśmy z Wandą strofami Słowackiego (ach, ileż w nich było przeczucia, cudu, który ziścił się teraz!) — przeplatając je zasmuconą czasem strzelecką piosenką. W powietrzu unosiło się jakby przeczucie czegoś dobrego. Z przyzwyczajenia zwracałyśmy uwagę na okolicę, nie spodziewając się wszakże ujrzeć w tych stronach coś więcej nad patrol kozacką.

Jakież więc było nasze zdumienie, gdy, na jakiejś 3-ej wiorście przed Zwoleniem, spotykamy nagle pluton regularnej piechoty rosyjskiej, dążący polami na ukos ku szosie!

— „Doznaję wrażeń myśliwego, na którego wychodzą kuropatwy!" — szepnęła Wanda. Fiołkowe jej oczy zaczęły niezwykle błyszczeć, twarz pełna była uśmiechów i rumieńców w ramach białej gazowej woalki, odwiewanej wciąż przez wietrzyk poranny. I ja patrzyłam już teraz z ciągłem wytężeniem na okolice i szosę, na której zjawiać się poczęli coraz częściej, pojedynczo lub grupami, żołnierze w burych szynelach. Na epoletach ich wszystkich widniała ta sama, do śmierci mi pamiętna cyfra: 72.

W samym Zwoleniu mijaliśmy już całe, uszykowane na ulicach, plutony i kompanje — całe miasteczko pełne było wojska. Na rynku nasz dorożkarz oświadczył chęć poprawienia czegoś przy koniach — to nam niezmiernie dogadzało. Sfrunęłyśmy zaraz do narożnego sklepiku „po landrynki“... W niewinnej rozmowie ze sklepikarką dowiedziałyśmy się łatwo, że „to wojsko“ dziś dopiero przyszło. Wychodziłyśmy właśnie powolutku, bacznie na wszystko nastawając uszu, gdy przed stojącym tuż oficerem meldował głośno podoficer, jakby specjalnie do naszej wiadomości, iż kwaterować mają dziś w Zwoleniu: jeden pułk piechoty i dwie baterje. Najwyraźniej słyszałyśmy obie: „adin połk, dwie batarjeje“. Spojrzałyśmy po sobie z cichym zachwytem — potrzebne wiadomości same pchały się nam w ręce!

W dalszej drodze do Sycyny nie zatrzymał nas nikt (charakterystyczna rosyjska lekkomyślność) — lecz przejeżdżające wciąż w jedną i drugą stronę wozy wojskowe, automobile i konni ordynansi — wszystko to świadczyło, że nie wyszliśmy jeszcze bynajmniej po za teren operacyjny tej jednostki bojowej na której szlak naprowadziły nas łaskawe losy. Że nie koniec na owych 2 baterjach i 1 pułku piechoty — wnosić było można z rozmaitych numerów na epoletach przejeżdżających kawalerzystów; odciskały się one na mózgu, jak na wrażliwej płycie fotograficznej, w tych chwilach szczególnego napięcia.

Ponieważ mogłyśmy bardzo łatwo popaść w podejrzenie i uledz rewizji — uznałyśmy więc za konieczne, w cichem porozumieniu zniszczyć zaraz nasze legitymacje wywiadowcze, które miałam w rękawiczce. Podarłam je drobniutko i rzucałam strzępki potrochu na drogę, w chwilach, gdy nikt nie przejeżdżał. Przyznaję, że ta czynność kosztowała mnie nieco emocji.

Ułożyłyśmy „bajkę“, że jedziemy do Wandy Czaplińskiej, by zanieść jej polecenia od narzeczonego, który został w Warszawie wzięty do wojska, w dniach ostatnich. Wanda nie miała wprawdzie nigdy narzeczonego, ale przecie będzie ją można jakoś uprzedzić, aby się przyznała do pana X., któregośmy jej przeznaczyły...

Mimo nawału niespodzianek dnia tego, osłupiałyśmy już doszczętnie, gdy przy wjeździe do Sycyny, zaroiło się od automobilów i żołnierzy, a wreszcie sam dwór przedstawił się nam, jak jedne wielkie koszary.

Nasz dorożkarz nie stracił fantazji i spokojnie zatrzymał powóz przed gankiem. Stało tam liczne towarzystwo cywilnych, pań i panów — obok liczniejsze jeszcze grono wyższych oficerów rosyjskich. Z widocznem zdumieniem zbiegł do nas po stopniach ganku młody pan, w którym, po rysach twarzy, poznałam odrazu brata Wandy Czaplińskiej. Powiedziałam mu to zaraz i, przedstawiając się, oznajmiłam, że mam ważny interes do Wandy. Widać słyszał od niej dużo o mnie — bo zaraz począł szeptać poufnie:

— „Wanda jest w Wacławowie, o 3 wiorsty stąd — może pani spróbuje przejechać... Pani widzi, co się tu dzieje? Już drugi dzień kwatera sztabu dywizji! (tu omal, że nie krzyknęłam) — ale lepiej niech panie jadą zaraz, ja się przysiądę, to opowiem...“

Ruszyliśmy, a pan Cz., stojąc na stopniu powozu, szeptał dalej różne chaotyczne informacje.

— „Czyja to dywizja?“ — spytałam gorączkowo.

— „Nowikowa! O, proszę popatrzeć: to sam Nowikow stoi tam, na bocznym ganku...“

Wymienił, na moje pytania, kilka pułków i brygad kawalerji, wyłuszczał króciutko przypuszczenia co do kierunku ich marszu; określał dość dokładnie teren wiosek, zajętych na ich kwaterunki.

— „Uprzedzam panie, że w Wacławowie stoi sztab brygaby Dabicza! Ale ja muszę już uciekać, bo to zwroci uwagę...“ I pożegnaliśmy się serdecznie.

Przy wyjeździe z podwórza, zastawionego automobilami, dogonił nas żołnierz i zawrócił. Jadąc z nami kawałek, tłomaczył dobrotliwie, że oficerowie muszą sprawdzić nasze paszporty, „...bo teraz różni ludzie się kręcą, nie można wiedzieć kto... nie wszyscy tacy, jak państwo!“ szatański śmiech wybuchł mi w duszy.

Zajechaliśmy znowu przed ganek — tym razem boczny, gdzie stali wyłącznie oficerowie, między nimi Nowikow. Jakiś oficer poprosił Stanisława Filipkowskiego, by wysiadł na chwilę; bardzo skwapliwie chciałyśmy pójść za jego przykładem, lecz oficer wstrzymał nas uprzejmym gestem i: „niet, niet, damy nie nużno *).

W tym wypadku było nam to niedogodne (gdyż z powozu nie widać było dokładnie odznak oficerskich), lecz jako zasada, ucieszyło nas szalenie: skoro „damy“ nie budzą podejrzeń wogóle, to my możemy bez obawy, z minami niewiniątek włazić w samą paszczę wroga! Spojrzałyśmy na siebie ukradkiem, tryumfalnie.

Po chwilce wrócił nasz towarzysz i oznajmiono nam pozwolenie jechania dalej.

W małym dworku wacławowskim znać było też wyraźnie stan jakiś nadzwyczajny. Cała rodzina Czaplińskich, stłoczona w dwu małych pokoikach, powitała nas z radosnem zdumieniem. Zakrzątnięto się czemprędzej około pożywienia dla nas (wyjechałyśmy bez śniadania) a w trakcie tego szło gadanie niesłychane. O dostaniu koni nie było ani mowy, bo wszystkie zabrało wojsko — lecz za to ważność i obszerność wieści, tu zaczerpniętych, przeszła wszelkie oczekiwania.

Jedni przez drugich dostarczali uzupełniających się szczegółów o dywizji Nowikowa, jej składzie, liczbie, ruchach, zachowaniu i t. d. To wszystko oczywiście stłumionym półgłosem, bo za ścianą siedział sam pan Dabicz...

My nawzajem opowiadałyśmy koleje Strzelców i świeże nowiny galicyjskie, przywiezione przez Filipkowską z Jędrzejowa — więc przedewszystkiem o stworzeniu N. K. N-u. Uświadomiłyśmy oczywiście Wandę Cz. o „narzeczonym“ i nauczyły ją na pamięć zmyślonych o nim szczegółów. C. d. n.

Z. Zawiszanka.

*) „nie, nie, dla dam to niepotrzebne!“

Ś. p. ppor.
Aleksander NEHRING-LUTY
poległ pod Kościuchnówką.

Obszerniej pisaliśmy o ś. p. ppor. Nehringu w zeszycie Nr. 9. (13).

JAN ROGOWSKI

Przysięga w Zambrowie.

(Ciąg dalszy).

8 lipca (niedziela). A jednak nie jest tak. Dziś Góra zebrał nas wszystkich i przemówił do nas w te słowa: „Oznajmiam wam dobrą nowinę. Przysięgę będą składać wszyscy, — a nie sami Królewiacy". Mówił coś tam jeszcze. Potem była śmieszna dyskusja z jednym żołnierzem, który powiedział, że my jako polityczne wojsko nie możemy przyjąć tej przysięgi bez zastrzeżeń...

Popołudniu byłem we wsi Długoborzu Szlacheckim. Rozmawiałem z naczelnikiem tej wsi Długoborskim. Ludzie tu, — o ile zauważyłem rozumieją i interesują się nami. Mówiłem z Długoborskim o P. Macierzy Szkolnej, wróciłem potem do miasta. W mieście była loterja fantowa, żydowska na jakiś żydowski cel. Wiara rozumie się bojkotowała. Słuchała muzyki niemieckiej, którą ostatecznie wygwizdała. Na tej całej zabawie powstała wreszcie wielka awantura. Żołnierze z 1 pułku, który tutaj stał w zimie, — poznali szpicla, żyda, z powodu którego jeden z żołnierzy naszych został, — jak mówią, — przez Niemców rozstrzelany. Wiara rzuciła się na szpicla. Zbili go do krwi: gdyby nie to, że oficerowie nasi wzięli go w obronę, — to byliby go chyba ubili.

2 lipca (poniedziałek). Dzień bardzo brzydki. Ćwiczenia były w koszarach. A więc dziś w Warszawie ma być przysięga. Z Zambrowa na przysięgę pojechała kompanja techniczna. Złożą ją czy nie? — Instruktorzy z 4 p. p. i 6 p. p. jadą jutro rano do swoich pułków na przysięgę. Pogłoski krążą, że do Zambrowa przyjeżdża jutro pułkownik Sikorski, — celem odebrania przysięgi; że będą ją składać jednak tylko Królewiacy i przysięga ma być zupełnie cicha, — w koszarach.

Adjutant bataljonowy tak mówił do sierżanta Illga: „Tutaj was wcale na wyszkolenie nie przysłali. Trudno jednak, żeby ludzie leżeli do góry brzuchem: trzeba ich zająć ćwiczeniami. Urzędy powiatowe będą przywrócone, ale jako komendy uzupełniające. Liczyć będą do 35 ludzi. Jeżeli przysięga dojdzie do skutku, to około 16 b. m. wracacie".

Właśnie w tej chwili jeden z kolegów głośno czyta z gazety komunikat Komendy Legjonów, że przysięga jest odłożona. Wspomniał mi o tem jeszcze wczoraj chorąży Zieliński. Ma być dlatego odłożona, że nie załatwiona jest jeszcze sprawa przysięgi poddanych austrjackich. O ile wiem, to korpus oficerski kursu wyszkolenia 4 p. p. oświadczył, że na przysięgę się godzi, — ale muszą ją składać i Królewiacy i poddani austraccy.

Wieczór tego dnia. W lesie odbywa się zebranie podoficerskie. Nie byłem na niem, bo nie mogłem ich znaleść. Kiedy jednak wracali w pochodzie do miasta, śpiewając: „Czerwony Sztandar", — stanąłem na baczność, zasalutowałem i przyłączyłem się do pochodu... Wyszliśmy za koszary, tutaj wielkie koło i „Nie rzucim ziemi". Zebranie podoficerskie powzięło uchwałę tej treści, że należy czynić to, co pułki macierzyste. Przysięga budzi zresztą ogólną niechęć. Nie może być inaczej. Od chor. Cieślaka, kolegi swego ze szkoły podoficerskiej, — dowiedziałem się rzeczy poprostu wstrząsających. Pułkownicy: Śmigły, Norwid, Żymierski — są zawieszeni w czynnościach. Podobnie Belina. Kilku kapitanów z 3 p. p. — zdegradowano i wysłano pod eskortą do wojska austrjackiego. Major Trojanowski zdegradowany i wysłany do Kalisza pod dozór władz.

Wiadomości te lotem błyskawicy szerzą się w Zambrowie, — a jakie wywołują wrażenie łatwo się domyśleć.

10 lipca (wtorek). Rano odmaszerowali Królewiacy. Stojąc na polu ćwiczeń z bronią w ręku śpiewali „Rotę"... Przed południem w koszarach ćwiczenia. Ciągle jedno i to samo i gimnastyka i zwroty. Nuda tak szalona człowieka ogarnia, że nie wypowiedzieć. Czytam Sienkiewicza „Listy z podróży". Uspakajają mi one nerwy. Mówił mi sierżant Sowiński, że w pobliżu Zambrowa jest sześć bataljonów Niemców z karabinami maszynowymi. Przyjechał pułkownik Sikorski i jest w menaży oficerskiej. Wczoraj wieczorem delegaci Rady oficerskiej wzywali delegatów każdego bataljonu. Był projekt, ażeby Sikorskiego w lesie związać i wywieść. Wszystkie te pogłoski notuję. W 3 p. p. przysięgę miało złożyć tylko 18-tu. Innym poodbierano mundury. buty i t. d. W Warszawie miały być awantury, strzelanina.

Z gazet dowiadujemy się, że 3 p. p. przysięgę złożył — w koszarach. A raczej złożyli ją Królewiacy. Poddanych austrjackich, którzy agitowali przeciwko przysiędze, rozbrojono i wysłano do kadry austrjackiej. W tej chwili słyszę, ze w Warszawie złożyło przysięgę 200-tu ludzi, — 30 oficerów, z tych tylko 4 linjowych, między tymi Berbecki i Januszajtis. Z kompanji technicznej złożyło przysięgę tylko 5 ciu ludzi. Rano zasta-

nawiałem się całkiem poważnie nad tem, ażeby już dziś prosić kompanijnego o przydzielenie na stałe do 4 p. p. Nie chcę należeć do aparatu werbunkowego.

Około godz. 5-ej wyprowadzono nas na plac ćwiczeń A. Stanął tu kurs 4 p. p. i 6 p. p. Całe dwa pułki. Czekamy... Po polu przed nami przechadza się major Mężyński. Podzielono nas według inspektoratów. Porucznik Florek, komenderuje: „Inspektorat Łódź — wystąp! Inspektorat Siedlce — wystąp i t. d. Aż wreszcie: „Inspektorat Kielce — wystąp!" Było to uczynione bezwątpienia w celu agitacji. Chorążowie spisali Królewiaków. Przysięgać mają tylko Królewiacy. Tłumaczą nam chorążowie werbunkowi n. p. Zieliński, że jest rzeczą dobrą, iż nie przysięgają poddani austryjaccy, bo w ten sposób i Austrji pozostaje głos w sprawie wojska polskiego. „Kto z Królewiaków nie chce przysięgać?" — Jeden patrzy się na drugiego, wreszcie ktoś podniósł rękę, podnoszą inni... Przysięgających można zliczyć na palcach. Spotykają się oni z ogólną niechęcią. Królewiacy, którzy nie chcą przysięgać stają do raportu pułkownika Sikorskiego.

Wieczór tego dnia. Wiec podoficerski w lesie. Wieczór smutny, pochmurny. Gościńcem dążą całe gromady. Idzie za nami powolnym krokiem, — w rozpiętym płaszczu major Mężyński. Kilku podoficerów dla zmylenia go wraca. Zatrzymał nas — i z jakimś szczerym, dobrym uśmiechem pyta się: „Więc macie?" Ten szczery jego uśmiech i serdeczny ton głosu ujęły nas. Zawiązała się dyskusja, poczem zaprosiliśmy majora na zebranie. Na rożnych zebraniach byłem, ale na takiem to jeszcze nie. Zdaje sprawę jeden z tej delegacji, która była w Warszawie. Zamiast pod krzyżem Traugutta przysięga odbyła się w koszarach. Robotnicy zniszczyli wszystkie urządzenia na placu, gdzie miała być przysięga. Trzy tysiące robotników odgrażało się, że jeżeli legjoniści zechcą przysięgać to oni wszystko rozbiją. Przysięgę złożyło w koszarach 80-iu z 3 p. p. złożyły dalej oddziały pomocnicze, razem dwustu kilku ludzi. Publiczność, która stała na mieście, — płakała. Mówił potem major Mężyński: „Przysięga miała być odłożona, — uparł się jednak pułkownik Zieliński, który oświadczył, że rozkaz musi być wykonany. Królewiaków, którzy przysięgi nie złożą odsyła się do obozów koncentracyjnych, a stąd, jeżeli gminy przynależności poświadczą za ich lojalność, — odsyła się ich do domów. Potem mówił o samej rocie przysięgi. Na rotę gorszej przysięgi godził się w lutym Piłsudski, oświadczając, że zgłasza się do czynnej służby w wojsku. To samo miał uczynić także i Radziwiłł. Rota z lutego była gorsza, bo była tam mowa o posłuszeństwie dla naczelnego wodza armji polskiej, wyznaczonego i zatwierdzonego przez cesarzów Wilhelma I. i Karola I. — jako gwarantów niepodległości. (A jednak, czy była to rota gorsza, to jeszcze pytanie, — i to wielkie...) Co do siebie oświadczył major Mężyński, że przymierza duchowa, byleby tylko walczyć z Rosją. Mówił długo, poczęto mu więc przerywać i szemrać. Żołnierze mają właściwie tylko jeden dogmat: „Niech Piłsudski każe". Przemówił następnie jeden z sierżantów, — krótko, po żołniersku.

„Musimy patrzeć na tych, którzy z nami byli w polu, a nie na tych, ktorzy swoje sarże zdobywali w hinterlandach, Kto chce nam udowodnić, — ale tak punkt za punktem: raz, dwa, trzy, cztery, — że przysięga jest dobra? — Nikt? — Wobec tego uchwalamy koledzy jednomyślnie: przysięgamv czy nie? — „Nie!" — głośno, chórem odpowiedziano. „Wpłyńmy wobec tego na tych żołnierzy, którzy są obałamuceni. I jeszcze jedno, — koledzy: zachowujmy się z godnością, — unikajmy awantur".

W poważnym, bardzo poważnym nastroju rozeszliśmy się. Zdajemy sobie sprawę z tego, że stoimy wobec wielkich wydażeń...

— — — — — — — — — — — —

Zapomniałem napisać, że major Mężyński między innemi mówił także i o tem, że nieprzyjęcie przysięgi oznacza obalenie Rady Stanu. Za obalenie Rady Stanu ma pójść wyjazd Beselera z Warszawy, — a możliwe i upadek Bethmana Hollwega.

— — — — — — — — — — — —

Pędzą lata, lata pędzą. Wszystko porywa jeden olbrzymi wir... Jeden jest tylko człowiek, który mógłby nad tym wirem zapanować...

A imię jego: Józef Piłsudski...

11 lipca (środa) Dzień wolny od zajęć ze względu na przysięgę. O godz. 11-tej było zebranie oficerskie. Wiem o tem od chor. Wrzoska.

Przysięgi dziś nie będzie, — jutro prawdopodobnie także nie. Do Zambrowa przyjechał pułkownik Januszajtis. Sytuacja — zdaje mi się, — poprawiła się. Nie jest w każdym razie rozpaczliwa. Mówił nam o tem chorąży Wrzosek, który długi czas z nami rozmawiał.

Wiadomość ostatnia, — przynosi sierżant Illg. Przysięga oficjalnie odwołana. Do Warszawy ma zjechać całe Koło Sejmowe, Rada Stanu w dawnym składzie, i przedstawiciele Poznania — i wszyscy wspólnie układają rotę przysięgi. Daj Boże, by tak było, — daj Boże!

Wiadomości te miał przywieśc Januszajtis. Sikorski wyjechał do Warszawy. Wiadomość ma być zupełnie pewna, — z tą tylko różnicą, że nie przedstawiciele Poznania mają przyjechać do Warszawy, tylko wszyscy komendanci pułków.

Z obozu w Zambrowie zgłosiło się sześćdziesięciu kilku ludzi do wojska austrjackiego.

Wieczorem dowiaduję się, że rozkaz Komendy Legjonów (czy Beselera?), — powołuje do Warszawy wszystkich oficerów linjowych z Zambrowa, prócz tego tych oficerów werbunkowych, którzy odmówili przysięgi, i wszystkich instruktorów.

W nocy znów kapral służbowy opowiada, że rzekomo 1 pułk miał złożyć przysięgę, że przysięgę składa Piłsudski i wstępuje do armji. Nie wygląda to na prawdę.

C. d. n.

ROMAN WOJNICZ-HOROSZKIEWICZ

Ośmiu...

Kolegom poległym

w grudniu 1917 i styczniu 1918 r.

Poprowadził podporucznik Macko oddział w drogę z której się nie wraca.

Niewielki oddziałek, nie można nawet napisać „pluton". Dwóch kaprali, jeden starszy żołnierz i szeregowców czterech. Razem z podporucznikiem ludzi — ośmiu.

Nie wielu — a przecież...

Osiem młodych istnień, osiem głów, osiem światów odrębnych. Co tam już dla każdego z nich ziemia cała, czem rozkosze i smutki życia... każdy z nich już tu nic nie posiada i niczego stąd nie żąda. Dla nich koniec już wszystkiego, koniec trudów, koniec życia, koniec — świata.

Przyszli ze śpiewaniem i fantazją. Zawsze, mimo wszystko, widzieli dla swej ojczyzny, gdzieś za chmurami dni dzisiejszych przyszłość jasną, świetlaną. I sami kąpali dusze swe w tych blaskach zorzy świtającej, w dalekich jej promieniach czerpiąc otuchę i moc wytrwania. Wpatrzeni w nią przyszli aż tu.

Przyszli — — na śmierć.

Co tam w duszach szeptały im tajemne głosy, co tam żołnierska intuicja im przepowiadała, nie wyszło po za obręb ich dusz. Tem większa ich zasługa, że wiedząc po co idą, poszli. I nie cofnął żaden kroku, do ostatniej chwili.

Śmierć, żołnierska rzecz, a wyższym od niej honor i poczucie pełnienia służby — do ostatka. „Za wierną służbę" przecie każdy z nich znak na piersiach nosił. Czarny krzyżyk z orłem białym. I każdy znak ten krwią oblał.

W wiernej służbie Polsce wytrwali, choć ciężko nieraz było i gorżko. Ano — kto na taką służbę idzie, nie o sobie powinien myśleć. Odeszli w lepszą i lżejszą drogę...

Macko Józef, Mozer Stefan 13 grudnia nad Piawą (Casa Pali), Anczakowski Kazimierz pod Tezze w lutym 1918, Łabaziewicz Artur, Bąk Jan, Janota Zdzisław, Moskwa Józef, Rzepczyński na Casa Marini 20/XII 17.

Ośmiu...

Po kolei głowy kładli na obcej ziemi i obca ziemia ciała ich przyjęła.

Umierali jak na polskich żołnierzy przystało, jak starzy, wypróbowani wojownicy umierają. A najstarszy z nich i dwudziestu pięciu lat nie miał.

A najmłodszy miał lat osiemnaście.

Opowiedzieć by teraz należało, jak padł z nich który — ale — trudno to opowiadać.

Bo to trzeba samą prawdę mówić. A nie można jej wiedzieć o wszystkich — gdy się widziało, jak umierali jedni, bo drudzy padli na przestrzeni kilometrów kilkunastu i niemożliwem było być przy wszystkich.

Połączyła ich tylko jedna idea, jedna myśl. Żołnierzami wszyscy pierwszego pułku piechoty, brygady Piłsudskiego byli.

O niektórych jednak choć szczegółów kilka wiedzieć warto.

Padł więc podporucznik Macko, tęgi, wielki, wesoły oficer z karabinów maszynowych, — kadetem-aspirantem był w c. i k. armji — ciężko ranny i w kilka godzin dopiero umarł. Ano — ciężko mu było pewnie ten świat taki wesoły opuszczać, tańczył tak dobrze i bawić się lubiał.

Mozer, kapral, padł na placówce. Kulą w głowę dostał, chwilę się tylko męczył.

Legjoniści na froncie włoskim w maju 1918 r.

A żartując, do ostatka kpiąc zwyczajem starej wiary, z chichotu granatów, odłamkami też granatu w piersi i głowę trafiony — padł kapral Anczakowski. „Panna Kazia". — — Żołnierz szczery, wesoły, lubiany i żałowany, dla buzi gładkiej i panieńskich oczu „panny Kazi" przydomek nosił.

Smutny i posępny, przeczuwający, że zginie, szedł do ostatecznej swej bitwy st. żołnierz Łabaziewicz Alfred. W skroń kulę dostał, gdy sekcję w tyraljerce prowadził. Pod płotem winogradowym, przy drodze kulami zasianej, opatrzył mu druh stary ranę — i słów ostatnich bez związku już szeptanych, wysłuchał.

I trzeci padł od rany w głowę, stary, żelazny, nieustraszony wojownik, ani razu nie ranny, nie chory, zawsze w linji, czwarty już rok trwający na stanowisku szeregowiec Bąk Jan. Po tego śmierć przyszła nagle, tak, jakby niespodziewanie zaskoczyć go chciała. Sto-

jąco, z palcem na cynglu, kulę nad brwią dostał i palca nawet z cyngla nie zdjął.

A Moskwa od szrapnela ciężko został w brzuch ranny. Tyle już takich ran widział, czwarty już rok też przecie służył, wiedział, że koniec nadchodzi. — Spokojnie, do ostatniej chwili śmierci nieulękle w oczy patrząc, adresy do rodziny podyktował, ostatnie „Cześć“ od kolegów usłyszał i umarł, tak jak żył, po żołniersku.

A Janotę i Rzepczyńskiego znaleziono martwych po bitwie. W tyraljerskiej linji padli.

Tak zginęło ośmiu Piłsudczyków.

I do mogił z nad Wisły i Styru, do mogił z pod Karpat i z pod Dniestru przybyły nam mogiły.

Osiem ich.

...I poprowadził podporucznik I ej Brygady — żołnierzy swoich w marsz ostatni.

Ośmiu — oddziałek niewielki — nie można nawet napisać — „pluton“.

* * *

Prócz wymienionych w wspomnieniu Wojnicza zginęli z końcem 1917 i początkiem 1918 na froncie włoskim legjoniści:

Kukułka Józef. z 1 p. p. Leg., Rudnik Kazimierz, 1 p. p. Leg,, Repełowski Edward, 2 p. Leg. rodem z Krakowa, Słowiński, 1 p. p. Leg., Wójcicki Stanisław, leg. plut., lwowianin, urzędnik fabryki tytoniu w Winnikach z 1 p. art. Leg.

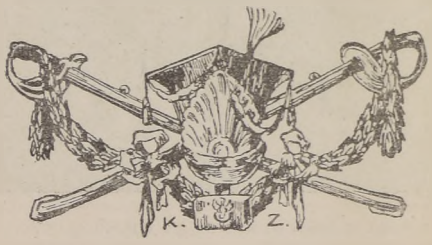

O szóstym pułku Legjonów Polskich.

Wyjątki z pamiętnika adj. Stanisława Kochanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Pod Sitowiczami.

17/VII. Stoimy w lesie nad rzeką Stawokiem, który nas dzieli od Moskali — pozycje są blisko siebie widać doskonale wieś Sitowicze i Sitowiczki, zniszczone dobrze, armatnim ogniem — sterczą kominy — szkielety wysokich drzew — podziurawione dachy stodół; widać doskonale ich okopy odrutowania — wszystko, niemal pojedyncze postacie. Na prawo od nas stoi zeci pułk — na lewo Bawary.

Szeptycki przyszedł do nas na śniadanie — odnosi się do pułkownika bardzo serdecznie — ma zdaje mi się, słabość do niego — tak też było w istocie, jak pokazały późniejsze wypadki; — siedzi sobie w naszej lepiance z nami, opowiada ciekawe rzeczy z rosyjsko-japońskiej wojny, w której brał udział jako attaché, o Krymie, o dyplomatycznych misjach.

Zapominam poprostu słuchając słów jego, że siedzimy w poleskich bagnach — ale przypominają nam ostrzeliwania naszych nowoprzybyłych bateryj.... że to pozycje a nie salon. I. i III. batalion stoją na linji II. B. w rezerwie, koło nas. Komenda pułku zajmuje skromną lepiankę, telefoniści drugą, kancelarje trzecią. Zluzowaliśmy austyjackie landwery, pułkownik ich, zgnębiony bardzo — stracił jak opowiada — 75% swoich oficerów. Moja kwatera przedstawia stę bardzo idyllicznie: cztery patyki wbite w ziemię, na nich nieco gałęzi, derka, siodło pod głowę i koniec. Tak spałem kilka dni z rzędu — co nie było miłem, bo deszcz lał ustawicznie jak z cebra, a że nie miałem się w co przebrać po stracie rzeczy, więc dygotałem z zimna, dopiero po pięciu dniach sprowadziłem się do lepianki Stopczańskiego, ale i tu było nie tęgo, bo przeciekało i trzeba było się przenosić z mniejsca na mniejsce. Sytuację ratował świetny humor Norwida, umiejącego w najnieprzyjemniejszej chwili powiedzieć coś tak dowcipnego, że zapominało się o wszystkiem, Ten ustawiczny deszcz dał się nawet naszym koniom we znaki bo zrobiły się tak złe, że dostąpić do nich nie można było. Na linji będzie masa do roboty zanim się jako tako okopiemy w tych bagnach, na razie wszystko leży unużane w błocie. Mamy już nieboszczyka podoficera Czarneckiego, wyszedł wczoraj z okopu, bo mu się zachciało złapać kurę między drutami, trzepnął do niego Moskal o kilkanaście kroków i zginął biedak na miejscu ... Jesienny deszcz pluszcze i pluszcze wciąż, rysuję jakieś plany, tłumaczę niemieckie rozkazy, nudno ani wyjść ani wyjechać. W pułku zaczynają już ludzie chorować, trzech naszych oficerów wyjechało do szpitala, żołnierze nie mają płaszczy z jedzeniem także nie tęgo, kuchnie przyjeżdżają około 8-mej jak się ściemni, ze względu na bliskość Moskali.

Sierpień.

Wezwany depeszą z powodu czyjejś nagłej choroby, wyjechałem na kilka dni do Galicji. Za powrotem dowiaduję się o śmierci Józefa Skrzyńskiego, który padł w kontrataku pod Rudką Mirińską, gdzie stoi teraz nasz batalion. Nareszcie mam już swoją własną kwaterę podziemną wybitą płótnem i urządzam się jako tako, zabieram blok, idę na obserwatorjum artylerji albo na pozycje rysować, pomagam Jakóbskiemu w szkicach odcinka — wreszcie w późną noc słuchamy ciekawych opowiadań Norwida z czasów rosyjskich.

Liljowe listy przychodzą często, kładę się pod złotą kopułą klonów, przez które przeziera wreszcie lazurowy strop i czytając rzeźbione słowa, czuję się

prawie szczęśliwy. Na srebrnych pajęczych nitkach spływa do mego żołnierskiego węzgłowia cudna Safo i melodyjnym swym głosem czyta mi po raz drugi te listy swoje z muzyki i kwiatów utkane... Jedziemy konno z Norwidem w lasy to znów idziemy na placówki, do schronów i okopów i tak płynie jakoś to życie żołnierskie beztroskie bez jutra....

Napad naszej artylerji nocą na rosyjskie pozycje, Punkt w pół do dziesiątej w nocy rozlega się huk kilkuset armat — szyby naszych lepianek dzwonią, ziemia drży, wieś Sitowicze stoi cała w morzu ognia, cudny widok, który notuję na prędce kolorowymi ołówkami. Idziemy z Jakóbskim przyjrzeć się temu zbliska i zastanawiamy się po drodze, kiedy też Moskale sprawią nam rewanż....

W Piasecznie, gdzie stoi komenda Legjonów, poznałem osławionego Mielżyskiego, który jest oficerem łącznikowym ze strony pruskiej u nas. Brutalna niesympatyczna twarz, oglądam jego studja malarskie, chorobliwie pornograficzne, ale malowane con brio. Odbieramy dosyć często wizyty różnych austrjackich i pruskich generałów, którzy chwalą jednomyślnie prace na naszym odcinku; przyjeżdża też brygadjer Haller i to przerywa nam jednostajne okopowe życie.

Wrzesień.

Przyjechał Wieniawa, adjutant Komendanta, o którym dużo słyszałem od Norwida, elegancki miły Europejczyk. Jedzie właśnie ze swoim szefem do A. O. K. i wstąpił do nas na konferencję z pułkownikiem... O mało nas nie utłukli dzisiaj z Norwidem, gdyśmy szli koło obserwatorjum artylerji.... Po południu poznałem miłą i dzielną dziewczynę, sanitarjuszkę 4-go pułku une petite boule de surif, rozumie się tylko a l'exterieur) zabawnie wygląda w swoim mundurze, jak grzeczny chłopczyk. Zwiedzałem stanowiska Bawarów, którzy stoją koło nas, same młode chłopaki. — rekruty.... Mamy trzech jeńców rosyjskich Polaków, którzy przeszli zwabieni do nas, jak twierdzą, polskiemi pieśniami, które spiewają nasi chłopcy w okopach. Siódmego w czasie objadu przychodzi depesza z komendy, odwołująca Jakóbskiego do Dęblina. Zrobiło nam się smutno, pułk tracił w nim najzdolniejszego oficera. Miało to tło polityczne ze względu na prądy, które nurtowały już pod Optową a teraz zaczęły się wysuwać na nowo. Myślę, że bezpośrednim powodem było jego przemówienie na zebraniu oficerskiem przed kilku dniami. Jakóbski składa w moje ręce adjutanturę pułku i jedziemy obydwaj zameldować się u pułkownika Zielińskiego. Zieliński przyjął Jakóbskiego bardzo niełaskawie, groził mu nawet kulą, jak mi później sam Antek opowiadał. Z powrotem zajechaliśmy do I. Brygady do Smigłego, bo Jakóbski miał tam z nimi pokonferować i nad wieczorem rozstaliśmy się. Było mi go bardzo żal, bo ceniłem go zawsze wysoko... Wrócił z urlopu major Rylski, w komendzie Legjonów kazano mu objąć 4 pułk, bo Roja jechał na urlop, wrócił jednak z powrotem do komendy, bo Roja nie zgodził się na to i zażądał tego na piśmie. W Piasecznie miał u nas w trenie nie miłe zajście z przyjacielem moim chorążym Hubertem, wywołane zbyt nawet jak na majora nietaktownego powiedzenia. Mieliśmy w tych czasach i alarm. Dano nam znać telefonem, że Moskale są w okopach 3-go pułku na naszem prawem skrzydle. Major Mężyński w tej chwili alarmuje rezerwę (bat. Popowicza) i sam z nimi pędzi do okopów, by wykurzyć stamtąd Moskali. Wyjątkowo nie byłem wtedy pierwszy raz w ogniu, bo kazał mi Mężyński zostać przy telefonie i odbierać rozkazy i meldunki. Nie powiem, żeby to było zabawne, siedzieć tak pod ziemią ze słuchawką przy uszach i nic nie widzieć. Moskali wyparto i wszystko wróciło nad ranem, na swoje miejsce. Popołudniu przyjechał pułkownik z urlopu, melduję się u niego już w mojej nowej funkcji i od tego czasu byłem już przy nim ciągle aż do końca jego pobytu w pułku. Nie miałem nigdy w życiu milszego od niego szefa, bardziej wyrozumiałego i spokojnego, taktownego a przedewszystkiem, delikatniejszego. Ten twardy żołnierz nie umiał nawet żartem dotknąć kogoś niemile, w czem był przeciwieństwem swego poprzednika Rylskiego, którego pasją było robić oficerowi jakąś niedelikatną uwagę.

(Ciąg dalszy nast.)

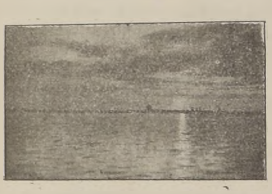

WACŁAW SOCHA-LIPIŃSKI.

Dziennik Żołnierza Legjonowego.

(Ciąg dalszy)

Wyjechaliśmy o 2-giej po południu i jedziemy na Maków, Jordanów, Chabówkę, na Nowy Targ. W wagonie pełno, to też gwarno i wesoło. Jedziemy doliną obok szosy i wartko płynącego potoku. Wokół wzgórza i wzgórza, a my wyczekujemy Tatr, lecz szczytów jakoś nie widać. O 8-mej przyjechaliśmy do N. Targu. Mroźny wieczór, lecz jasno jak dzień. Blady i poważny księżyc świeci na niebie, skrząc miljonami iskier na śniegu. Mróz siarczysty...

Po kilku minutach, przy dźwięku naszej orkiestry ruszyliśmy do miasta po zmarzniętej, śliskiej szosie. Ludność nas wita z radością, wszędzie śmiechy i wesele. Aż raźno na duszy, gdy się taką przyjaźń i serdeczność widzi...

3. grudzień. — Spaliśmy dzisiaj na łóżku! Pierwszy raz od wyruszenia z domu! To też z rozkoszą przeciągaliśmy się na wygodnych materacach.

Rano ćwiczenia do 12-tej, które prowadzimy na polu w śniegu po kostki. Po południu, — ledwieśmy obiad zjedli, zbiórka alarmowa i o 2-giej wyruszyliśmy. Mieliśmy stanąć w pierwszej wsi t. j. w Waksmundzie, a tymczasem wsie za wsią mijamy, godzina za godziną uchodzi, a my wciąż idziemy. Wieczór już zapadł, noc nadchodzi chłodna i mroźna.

4. grudzień. — Ruszamy po herbatce. nasz pluton jako tylna straż. Satyr prowadzi, to też pędzimy wściekle po doskonałej szosie, zaganiając częstych maruderów.

Wokół dolina Dunajca. Wspaniałe wapienne skały Pienin, nagie iglice, przepaściste zbocza stoją ciche, przykryte lekkim płaszczem śniegu, zda się śnią... Za chwilę wznosi przed nami potężna skała Czorsztynu. — A Dunajec mieni się srebrnymi barwami, toczy się wartko po zboczach skał, szumi ochoczo i wesoło...

Dochodzimy do Szczawnicy, gdzie w jednej chwili obydwa bataljony wsiąkły w wille, domki, chałupy. Kto żyw w Szczawnicy, młódka czy starsza, chłopak czy gazda wybiegli z jadłem, z pełnemi rękoma, ciągnąc na kwaterę. Kobiety starsze pochlipują, młode zęby szczerzą — to też spustoszenie w kolumnie następuje straszne. Nasza paczka pakuje się do pysznej willi, gdzie nas ze wzruszeniem przyjmują gospodarze i co ważniejsza — trzy panienki... Spędzamy tam wieczór i noc na przepysznych łóżkach, z prawdziwemi śnieżnemi poduszkami i materacami...

5. grudzień. — Z ciężkim sercem stawaliśmy rano z miękkich łóżek. Po śniadaniu szukanie reszty plutonu, a po komiśnym obiedzie, który został w kotłach zbiórka po naboje. Dostaliśmy po 200 sztuk. Narbutt zapowiedział, by je cenić, gdyż w tych górach o naboje trudno. Patrole stoją tuż tuż za wsią i włóczą się gęsto po okolicy, wyszukując kozaczków, którzy się tu i ówdzie pokazują.

7. grudzień. — O 5-tej rano wpadł Zygmunt Chabowski z okrzykiem: „Zbiórka w pełnym rynsztunku“ — Wymarsz! Z prawdziwą wściekłością zaczęliśmy się zbierać. W willi zawrzał ruch, gospodarze za chwilę poprosili na śniadanie. Ogólna konsternacja i żal. Panienki mają smutne minki.

Po wzruszającem pożegnaniu machnęliśmy na zbiórkę.

O 8-mej, gdy już kolumna ruszała, goni nas zdyszana panienka z naszej willi. Przebrana w mundur, uzbrojona. Mimo żeśmy się nie mogli zorjentować — „rekrut“ — pakuje się do pierwszej czwórki. Nie pomogły perswazje, namowy, prośby i groźby. Została jako obywatel Adam — i już...

Tymczasem marsz otwierał przed nami najcudowniejszy zakątek polski, wspaniały przełom Dunajca. Szliśmy w milczeniu przez wązką gardziel białych skał, przyczepieni do zboczy, po wąziutkiej drodze. W zachwycających skrętach, dzikich wężowiskach rwał pod nogami zielony Dunajec. Na nocleg stanęliśmy we wsi Spiskiej, Niżne Łapsy.

8. grudzeń. — Hej! ciężkie marsze po górach, dolinach! Plecak ciągnie ku ziemi, głowa chyli się w dół od zdrętwiałego karku, uda z ostatnim wysiłkiem podnoszą ciało wysoko, wysoko, ciągle w górę...

Idziemy po szerokich wzgórzach, stopniowo się wspinając, to znagła w dół lecąc chybcikiem! Ciężkie marsze, ciężkie, od których dzika pasja w człowieku zbiera, na użasną niemoc pot oczy zalewa, aż odkrytą pierś halny wiatr chłodzi...

Z Niżnych Łapsów idziemy wciąż górami, z częstymi odpoczynkami. Już Tatry czernią się przed nami zboczami skał, sypkiemi piazgami. Potężnie i władnie spozierają ośnieżone tarnie i tuż tuż, objąć byś je chciał, tylko siwa mgła rowleczona szeroko u stóp mówi, że daleka do nich jeszcze droga...

O 4-tej stanęliśmy we wsi Bukowinie o kilka klm. od Poronina i Zakopanego. Stoimy w czystej chałupie, gdzie młoda góralka gościnnie nas przyjmuje mlekiem, kartoflami, a stary gazda, z pooranem czołem dopytuje się ciekawie o tej blizkiej wojnie.

9. grudzień. — Hej! Co za cudy natury mamy przed sobą! Nocą gwiezdne niebo a takie gwiezdne, że oczy mrużyć trzeba, patrząc na promienne błyskotanie miljona gwiazd. Rankami krwawe, przepyszne jutrzenki, na których tłe potężne szczyty Tatr jeszcze się ogromniejsze i potężniejsze zdają, świty różane na śniegach, na które patrzysz z cichym zachwytem, dziwujesz się i krzyczałbyś z radości, ze świat tak piękny, tak wspaniały...

O 10-tej wymaszerowaliśmy z Bukowiny i wciąż w dół serpentynami schodząc, zaszliśmy na południe do Poronina, gdzieśmy stanęli na noc.

10. grudzień. — Godzina 5-ta po południu. Na dworze ciemno, niebo chmurne, halny wiatr świszcze w o płotkach, gra na smukłych smerekach, gna siwe, głębokie chmury, tłucze je po wyniosłych szczytach Tatr. Ciepły, halny wiatr pozganiał śniegi do rowów i dziur, rozkuł bystre potoki i zrudziałem płaszczem pokrył cyrle, hale i szerokie zbocza...

11. grudzień. — Mamy w Poroninie „garę“. Dzisiaj przy zbiórce śniadaniowej Narbutt odczytał rozkaz o odpoczynku i odpowiednie do tego rozkazy. Będziemy mieli gimnastykę, (a jakże!), pozatem wykłady i trochę ćwiczeń.

Pogoda wstrętna, chmury tłuką się po niebie, od gór ciepły, wiosenny prawie wiatr, rozmiękła ziemia i błoto ślizga się rod nogami.

12. grudzień. — Niewesołe nadeszły dzisiaj wiadomości. Ponoć Moskale coraz bardziej prą w Galicji, w Królestwie również źle. Nastroiły nas te wieści pesymistycznie, więc znów rozpoczęły się te długie, wieczorne gawędy, o tem co zrobimy w razie przegranej, gdzie się na emigrację udamy. Ciężkie, smutne

myśli wleką się za starym szlakiem emigracyjnym, staremi polskiemi drogami żołnierzy — tułaczy...

13. grudzień. — O 5-tej rano pobudka i po śniadaniu marsz na Nowy Targ. Idziemy ponoć na linję.

Nad Tatrami wiszą chmury i mgły się czepiają nagich tarni. W dolinach wilgoć i ciepło. Orkiestra przygrywa, idziemy szybkim marszem. O 10-tej stanęliśmy w Szaflarach na godzinny postój, a o 1-szej wkraczaliśmy z powrotem do Nowego Targu. Rozradowane twarze patrzą na nas wokół, gospodarze rozpoznają niedawnych swych gości, witają ich serdecznie.

14. grudzień. — Ciężki mieliśmy dzisiaj marsz. Choć częste były odpoczynki — solidnie zmachani weszliśmy o 4-tej po poł. do Ochotnicy.

Rano ruszyliśmy z Ostrowska i z Łopuszna skręciliśmy na wschód w stronę Limanowej. Idziemy do Kamienicy Dolnej, prawdopodobnie na linję, choć nie wszyscy tak sądzą. Coprawda ludzie są pomęczeni. Od Krzywopłotów wieczne marsze i kontrmarsze, najwyżej jedno, dwudniowe odpoczynki. Połowa ludzi w baonie chora. Podobno Komendant ma na celu trzymania nas jak najdalej od linji, by zaoszczędzić nasz bataljon. A z drugiej strony znowu twierdzą, że idziemy na pewniaka na linję, że pierwszy, trzeci, piąty baon są w ogniu i, że my idziemy ich zmienić. Nie wiadomo co sądzić. Lecz faktem jest, że z przyjemnością poszlibyśmy już na linję i byle tylko prędzej póki jeszcze zapasy są w plecaku, a na dworze jako tako ciepło i mróz jeszcze nie ścisnął.

15. grudzień. — Do południa ponoć mamy stać w Ochotnicy, do której wczoraj po całodziennym marszu przywlekliśmy się, lecz już o 12-tej wpada dyżurny z okrzykiem: alarm! W kilka minut stanęliśmy przy Narbucie. Nadjechał por. Rokita z okrzykiem: pułk w Nowym Sączu — maszerować! Odpowiedział mu ogromny okrzyk radości i w doskonałych przepysznych humorach ruszyliśmy. Marsz był ciężki, gdyż rwaliśmy mocnym krokiem. O 4 tej postój i obiad na szosie, poczem znów dalej. Noc zapada, godzina za godziną upływa, a my wciąż kilometry za kilometrami zostawiamy za sobą.

16. grudzień — Dzisiaj przed wymarszem, gdyśmy stali na szosie od przechodzącego dziadka niosącego opłatki, dostaliśmy po całej paczce, jednej na pluton. — Niech tam panom Matka Boska da święta spędzić spokojnie, życzył nam dziaduś bezzębnemi usty.

W południe stanęliśmy w wsi Podegrodziu.

17. grudzień. — Ruszyliśmy po obiedzie do Nowego Sącza i przestrzeń dwanaście klm przeszliśmy szporko. Do miasta wchodzimy przy hucznych dźwiękach orkiestry, która rżnie potężnie. Wszystkie balkony zapełnione widzami, witają nas ludziska serdecznie, radośnie! A wiara wycina mocny, równy krok z głową do góry podniesioną, z wysoka, dumnie patrząc na na wałęsających się austrjaków.

C. d. n.

DLA CIEBIE POLSKO!

Dnia 9 czerwca 1917 w szpit. Ujazdowskim zmarł z trudów wojennych Fr. Hamerlak, st. szereg. 8 k. 4 p. p.

Zmarły ur. się w r. 1893 w Bestwinie p. Biała jako syn ubogiej wdowy. Pracował ciężko w kopalni węgla a czas wolny, poświęcał pracy w Drużynie pol. Sokoła.

W drugiej połowie sierpnia 1914 r. wstąpił do Leg. względnie baonu sokolego w Wadowicach. Po wymarszu do Bochni i przysiędze — dostaje się do baonu kap, Fabrycego, 11 k. 2 pp.

Bierze udział we wszystkich bitwach karpackich. Od Nadwórny, Mołotkowa, Tiuszki, Kirlibaby po Tłumacz i Bukównę nad Dniestrem. Tu zmorzony ciężką gorączką i chorobą płuc opuszcza szeregi. Wysłany do szpitala w Znaim — po miesiącu wraca — ale już do formującego się czwartego pułku w Rosprzy.

Po bitwie pod Jastkowem, pisał z dumą do kolegi „Jesteśmy prawdziwymi czwartakami".

Chętnie też wysuwał się na „ochotnika" do patroli lub służby. Dobrowolnie stawał bez zmiany, po kilka godzin na posłuchach i wedetach. — Zwłaszcza, gdy widział, jak trudno było rozbudzić przemęczonych żołnierzy.

Gdy pewnego razu — pod Optawą — stał już tak kilka godzin na czujce, przy drutach, — zauważył to oficer inspekcyjny. Po zwykłym „stój" „hasło" oficer przybliżył się z zapytaniem „Zdaje się, że wy tu Hamerlak zadługo stoicie bez zmiany?...

— E... to tak... panie poruczniku, to ja sam dobrowolnie, bo i tak bym niezasnął — wykształcił — tłumiąc cichy kaszel w piersiach.

Oficer chciał już odejść, lecz coś go zatrzymało. Zawrócił. Długo i długo coś szeptem ze sobą mówili. Wiatr mroźny smagał im twarze, a gwiazdy migotały tysiącami świateł w śnieżnym całunie.

O czem mówili?...

O chacie i rodzinie, o bitwach i przejściach życiowych i jeszcze coś... coś... że być może niebędzie Legjonów... I stali tak obaj — pełniąc służbę o Polsce śnili...

Mimo zaziębienia trwał dalej. W listach do kolegi pisze „chory jestem — ale nie daj znać do domu, boby się martwili".

Potem bierze udział w walkach lipcowych nad Styrem. W dniu 6 lipca (1916) pułk czwarty opuszcza swe stanowiska. Zostaje garstka żołnierzy, — jako osłona — do rzucania ręcznych granatów. Hamerlak wśród nich. Po wyrzuceniu ostatnich, — ratują się ucieczką, z otaczającego ich mrowia moskali. Prawie ostatni odchodzi z rowów Hamerlak. Moskal niemogąc

ręką dosięgnąć go, rzuca do niego swój karabin wołając „Zdawajsia“. — Uszedł — by walczyć nad Stawokiem. A potem znów walki duchowe w Baranowiczach, — być — niebyć...

Wreszcie pułk stanął w Zegrzu. Tu Fr. Hamerlak ostatni raz pełni służbę wartowniczą. W marcu opuszcza pułk — wysłany przez lekarza — do szpit. Ujazdow.

Gruźlica, — której się nabawił — przecina nić pełnego trudów, bohaterskiego żywota.

Dnia 11 czerwca pogrzebany został na wojskowym cmentarzu na Powązkach.

Cześć Jego pamięci.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Dnia 9 stycznia 1918 r. znaleziono z przestszeloną czaszką w krakowskim „Hotelu Drezdeńskim“ śp. Tadeusza Witkowskiego ppor. 2 p. p. Legjonów Polskich.

Ur. w 1890 r. w Pilicy (Kieleckie), był urzędnikiem fabryki wyrobów gumowych w Wolbromiu; do Legionów wstąpił po wybuchu wojny w 1914. Zrazu jako prosty żołnierz, następnie po ukończeniu szkoły chorążych chorąży, brał udział we wszystkich bitwach kampanii karpackiej wraz z 2 p. p. Legjonów. Ranny był na Wołyniu w 1915 pod Bielgowem. Celem umożliwienia mu leczenia przestrzelonej ręki odkomenderowany do Stacji Zbornej Leg. w Krakowie, pełnił tu wzorowo służbę od 1 maja do 1 grudnia 1916 — poczem odesłano go na werbunek do okręgu łódzkiego. Chociaż superarbitrowany i uznany za zdolnego tylko do służby kancelaryjnej zgłosił się z powrotem do służby w pułku. Atoli doznając wzgardy do najbliższych za swoje czysto żołnierskie pobudki, napiętnowane jako „zdrada“ i „upodlenie“ przez wytrwanie w Legionach i przysięgę — w swej wrażliwości nie widział innego wyjścia, jak usunięcie się.

Jako dokument żołnierskiej tragedji dusz przytaczamy list przedśmiertny ś. p. ppor. Witkowskiego, pisany do jednego z przyjaciół:

„Przebacz iż do pułku nie pojechałem. Jadę cokolwiek dalej niż do pułku. Trudno, wojna człowieka doprowadziła do tego. Długo ci stanu psychicznego opisywać nie będę, gdyż jestem za bardzo zdenerwowany. Dowiesz się o tem z innych listów, no i znając mnie nie zdziwisz się wcale. Gdybym był siedział w pułku dalej, byłoby to nie nastąpiło. Lecz tu w Krakowie, a szczególniej w Królestwie odczułem głęboko na co człowiek jest narażony nosząc mundur legjonisty. Szczególnie jest to przykrym dla Królewiaka. Więcej nie mam siły do tego, ażeby za trudy i męki znosić obelgi jak „Beselerczyk“ lub „zaprzaniec“. A z 90 proc. Polaków walczyć trudno. Zdaję sobie zupełnie z tego sprawę, iż jest to tchórzostwo z mej strony i brak odwagi. Lecz każdemu się tłumaczyć dlaczego przysięgałem, przedstawiać mu całą sprawę, to ponad siły człowieka... Pożegnaj odemnie kolegów wszystkich i znajomych i bądź szczęśliwy.

Tadeusz Witkowski ppor.

I w ostatniej chwili życia nakreślona w męce karteczka na stole:

„W godzinę śmierci wznoszę okrzyk: „Niech żyje Polska! Precz z Prusakami!“

Od Redakcji i Administracji.

Prosimy wyrównać należytość za ostatni kwartał. W następnym numerze podamy **dalszy ciąg** dłużników.

W Administracji naszej można za poprzedniem nadesłaniem kwoty nabyć:

Szarża pod Rokitną (antologia) cena 2·50.
Józef Piłsudski — Bibliografja cena 2·20.
Pędząca Sława, J. Relidzyńskiego cena 90 gr.

Komplety „PANTEONU POLSKIEGO“ od Nr. 1 (5) do Nr. 13 (17), względnie do Nr. 14 (18) t, j. do 31 września 1925 w cenie 15 zł. za komplet. Niektóre zeszyty na wyczerpaniu.

KAŻDY czytelnik „PANTEONU POLSKIEGO“ powinien zjednać i przysporzyć jednego nowego czytelnika!

* * *

Z POWODU zaległości wpłat tak P. T. Prenumeratorów jak i Oddziałów — nie możemy i tego miesiąca wydać dwu zeszytów. Wydajemy zeszyt 14 (18) w zwiększonej objętości. Następny zeszyt wyjdzie 1 października.

* * *

W myśl naszej odezwy dołączonej do zeszytu 12 (16) uiścili nast. Czytelnicy — jako pożyczkę zwrotną kwotę:

P. M. Oleksińska **25** zł., p. inż. Felsztyn ze Lwowa (na 50 zł.) **10** zł., Kazim. Piwowarczyk z Borysławia (na 50 zł.) **10** zł., p. W. Choróbska ze Sambora (na 25 zł.) **2** zł., inż. Dąbrowski z Dąbrowy Gór. **25** zł., razem wpłynęło do dnia 30 sierpnia 1925 — złotych 72·—.

Prosimy P. T. Czytelników, którzy zdeklerowali jakąś kwotę na powyższą pożyczkę o wpłacenie kwoty w całości lub w ratach. Innych prosimy o spieszne załatwienie naszej prośby i o nadsyłanie nam deklaracji.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY MARJAN HEIZLER
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: LWÓW, SKRYTKA 98.
Z DRUKARNI POLSKIEJ WE LWOWIE — ULICA CHORĄŻCZYZNY L. 17. — TELEFON NUMER 29-19. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE CYNKO-GRAFICZNYM „ARS“ WE LWOWIE, ULICA SYKSTUSKA LICZBA 32. — — — — — —

ZAKŁADY ELEKTRYCZNE KRÓL. STOŁ. MIASTA LWOWA

UL. WÓLECKA l. 2. Telefon 2021 i 2022. INSPEKCJA UL. CZARNIECKIEGO 5. Telefon 2025.

Prąd zmienny trójfazowy 50 perjodów, 5.000 do 110 Volt Rozporządzalna siła 16.000 koni parowych. Sieć przewodów podziemnych obejmująca 320 km., 470.000 lamp załączonych; 8.000 koni w postaci motorów i przyrządów przemysłowych.

Dostarczanie prądu elektrycznego do celów przemysłowych, gospodarczych, laboratoryjnych i t. p.

Zastosowanie żarówek 5-cio świecowych, niepospolite przymioty motorów elektrycznych i udoskonalenia w technice instalacyjnej torują elektryczności drogę do najskromniejszych gospodarstw i pracowni przemysłowych.

Niemcy oszczędzają stokrotnie więcej niż my. — Chcesz mieć Polskę potężną — oszczędzaj sam i ucz swoich oszczędzać!

Skarbonki Oszczędnościowe Miejskiej Kasy Oszczędności

we Lwowie, ul. Wałowa l. 9. Gmach własny.

powinne się znaleść w każdym domu.

SKARBONKI wydaje i WKŁADKI przyjmuje

MIEJSKA KASA OSZCZĘDNOŚCI WE LWOWIE

rano od 8 i pół do 1 i od 5 do 6 i pół popołudniu.

Podatek od wkładek opłaca Kasa z własnych funduszów. Za wkładki i oprocentowanie ręczy Gmina m. Lwowa.

Rozpowszechniajcie

Panteon Polski

dwutygodnik ilustrowany

poświęcony pamięci i czci poległych bohaterów o wolność Ojczyzny

Prenumerata kwartalna Zł. 4·—

Adres: Lwów, skrytka pocztowa 98.